Nr. 48. Warszawa, dnia 20 Listopada (2 Grudnia) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie. z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych. od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Rok nadchodzący będzie dwudziestym w życiu **Prawdy**. *Tak poważny przeciąg czasu uwalnia nas od obowiązku i potrzeby szczegółowego zaznajamiania jej czytelników z zasadami, dążeniami i celami redakcyi. Tytuł naszego pisma jest już dziś powszechnie zrozumiałym wyrazem określonego programu, który przez lat dziewiętnaście rozwinął się i uwydatnił w głównych swych zarysach tysiącami artykułów i utworów.* **Prawda** *— to znaczy: ścisłość i niezależność badania w nauce, sprawiedliwość dla wszystkich, czystość charakterów i energia działania w życiu, szlachetne piękno w sztuce, to znaczy humanizm w najobszerniejszem i najwznioślejszem rozumieniu tego słowa, to znaczy postęp wiedzy, swoboda przekonań, szlachectwo pracy i dostojności moralnej.*

Pragnących towarzyszyć nam dalej z zaufaniem i życzliwością prosimy o wczesne zapisywanie się na listę prenumeraty, gdyż abonentom spóźnionym nie zawsze możemy dostarczyć numerów **Prawdy**, *której nakład zastosowany bywa do przedpłaty terminowej.*

Jak lat poprzednich, nowi prenumeratorzy mogą i obecnie nabyć wydane w osobnych książkach dawne dodatki za połowę ceny według katalogu umieszczonego na ostatniej stronicy.

POLITYKA.

Wojna w Afryce.

IV.

Działania wojenne Anglików z obronnych zaczynają się stawać zaczepnemi. Z obu widowni, zachodniej i wschodniej, nadchodzą wiadomości wskazujące jeden i ten sam charakter pochodów — układanie się linij strategicznych i taktycznych, odpowiadające czynnemu wystąpieniu Anglików. Od zasobności liczebnej i stopniaześrodkowania sił angielskich, od powolniejszego lub szybszego wprowadzenia ich na obie widownie w należytej już gotowości do pochodów, od zaopatrzenia ich w pociągi, parki i żywność, a wreszcie od dzielności Boerów w oporze — zależeć będzie szybkość w rozwijaniu się nowej grupy wypadków. To wszakże odwrócenie się zasadniczego stosunku bojowego obu stron nie jest jeszcze stanowczem, nie ogarnia też większych przestrzeni. Na zachodzie Anglicy przechodzą w zaczepność dopiero w tej części szachownicy wojennej, która leży na południe od Kimberleyu, na pograniczu Transwalu, Grykwy i Przylądka; na wschodzie nacierają na stanowiska Boerów, wysunięto za Tugelę, ku Pietermaritzburgowi.

D. 23 z. m. generał angielski Methuen uderzył na zajętą w pierwszej jeszcze połowie miesiąca i obwarowaną pozycyę Boerów orańskich, Belmont, stacyę drogi żelaznej, idącej do Kimberleyu z południa, pomiędzy rzekami Oranje a Modder. Boerów nie rozbił, ale ich wyparował, sam znaczne poniósłszy straty: 3 oficerów i 55 żołnierzy zabitych. 21 oficerów i 128 żołnierzy ranionych, 18 wreszcie wziętych do niewoli: na kilkotysięczny oddział — to dużo. Boerowie musieli ponieść straty dotkliwe w samej sile bojowej, skoro ustąpili z pozycyi, nadto utracili obfite zapasy żywności, co w tamtych krainach, słabo zaludnionych, ma niemałe znaczenie. Anglicy z Belmontu posunęli się dalej na północ, na odsiecz Kimberleyowi. Stoczyli bój pod Graspan, posunęli się znów dalej i zajęli miejscowość „Honenyesthloof" — prawdopodobnie nazwa przekręcona. Tu znowu zaskoczenie dwóch milionów nabojów karabinowych przyprawia Boerów o dotkliwą stratę. Telegram z Queenstownu o tem zajściu nosi datę 27 z. m. Źródła boerskie milczą. Oddział z Belmontu wyparowany był prawdopodobnie odosobnionym.

W Natalu Boerowie na południu od Tugeli zaczęli ustępować bez walki. Wysunąwszy się zanadto ku Pietermaritzburgowi, bez rzeczywistego nań pochodu, za-

miast osaczyć doskonale Estcourt i na południe leżącą pozycyę nad Mooi-River, prawdopodobnie stacyę kolejową Weston — natrzeć i zdobyć przed nadciągnięciem posiłków angielskich z Durbanu, działali na oba te punkta tak niedostatecznie, że załogi ich zdołały się z sobą połączyć — z Estcourt generał Hildyard, z nad Mooi-River gen. Barton. Późniejsza depesza, wskazująca jako punkt połączenia się Frere, przeskakuje przez sam wypadek do dalszego, do zajęcia stacyi drogi żelaznej, już na północ od Estcourt, ku Colenso, nad Tugelę biegnącej. Skutek był przewidziany: skupienie się jakich 8—10 tysięcy Anglików powyżej i na lewo od wysuniętych stanowisk Jouberta, który właśnie w górę i na lewo, tj. na zachód, naturalnie ciążyć musi, zniewoliło naczelnego wodza Boerów do odstąpienia pod Weenen na północo-wschód od Estcourtu. Anglicy zatrzymują się na pozycyi, wyczekując dalszych posiłków, dla których teraz już mają drogę od południa otwartą, a gdy zgromadzą znaczniejsze siły, ruszą na Colenso.

Zbytnie oddalenie się Jouberta od Ladysmith, przy słabości sił rozproszonych na trzy, a właściwie cztery, widownie wojenne, czyni już teraz wielce nieprawdopodobnem opanowanie tego obozu oszańcowanego przed wtargnięciem Anglików za Tugelę: po wtargnięciu zaś Joubert będzie miał inne względem swego wojska i swego kraju obowiązki jako wódz naczelny: będzie musiał bronić owego historycznego klina Natalu, wdzierającego się w terytoryum transwalskie. Przedtem jeszcze bronić będzie linii Tugeli, a jeśli jest pewny komunikacyi przez rzekę, która tam już stanowi poważną przeszkodę, zapewne zmierzyć się zechce z Anglikami pomiędzy Colenso, Weenen i Frere. Natarcie, nawet jak najszybsze, przy współdziałaniu załogi z Colenso nakazuje mu strategiczny rozsądek. Teraz, działając szybko, może jeszcze rozbić Anglików, samem tem rozbiciem zaskoczyć w ostatniej chwili Ladysmith — i wytworzyć takie dla siebie położenie, takie warunki działania, że będzie mógł napowrót stanąć w postawie zaczepnej i powitać nią nadciągających ku Tugeli Durbańczyków Bullera. Stać się to powinno przed upływem bieżącego tygodnia — jeżeli się wogóle stać ma.

Tydzień polityczny. Methuen stoczył trzecią potyczkę z Boerami nad samą rzeką Modder, zwyciężył i zapewne z okolic Kimberleyu wyparł. Jeżeli z pod miasta oblegający nie cofnęli się w porę, mogło ich już zaskoczyć nieszczęście. Powinni też pomyśleć i o odstąpieniu z pod Vryburga z chwilą, gdy Kimberley dostanie odsiecz skuteczną; Anglicy przemogą ich liczbą i artyleryą.

W Konstantynopolu spisek pałacowy wykryty, sąd doraźny złożony, wyrok wykonany — wszystko w dniach 19 do 23 z. m. Depesza do *Frankfurter Ztng* zdradziła tajemnicę. Sprawcami byli dygnitarze: Said-bej, Ferdy-bej i Mułła Zia. Wszystkich przywieziono samemu sułtanowi do Ildiz-kiosku. Inni dygnitarze, w liczbie pięciu, wydali wyrok na dożywotnie wygnanie. D. 23 z. m. skazanych wsadzono na okręt i powieziono do Arabii. Podobno celem spisku było osadzenie jednego z synów sułtańskich na tronie. Aresztowania do d. 27 z. m. nie ustawały.

Pobyt w Anglii zatruły ces. Wilhelmowi nietylko dwa zgony, zakłócające jasną pogodę przyjęć dworskich, ale i wiadomość z Niemiec. Sejm cesarstwa w drugiem czytaniu pogrzebał słynną „Zuchthaus-Vorlage,“ inaczej: „Arbeitsvilligenschutz-Gesetz“ — jedno z marzeń cesarskich. Dokonało tego centrum, a w niem odłam bawarski.

W Radzie państwa w Wiedniu komitet prawicy odmówił rządowi zaufania i poparcia. Cesarz radził z posłem Aehrenthalem — wskazanym we wrześniu kandydatem na prezesa. Minister Koerber prowadzi rokowania z młodoczeskim Englem. Delegacye zebrały się d. 30 z. m.

Kitchener rozbił Mahdiego, daleko już za Chartumem; sam święty padł.

W Paryżu sąd senatu bada świadków, z których wielu zachowuje się wyzywająco, za co spadają na nich doraźne kary. W Izbie minister Delcasse za obraz polityki zagranicznej otrzymał uznanie. Poselstwo w Watykanie utrzymano wbrew komisyi 349 gł. przeciw 200.

Salisbury po skonie małżonki usuwa się od rządów. Spadek obejmują Devonshire i Rosebery.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYJAŚNIENIE.

Przed kilku miesiącami podaliśmy w *Prawdzie* wiadomość, iż w maju r. b. ogłoszono rozkaz Najwyższy, na którego mocy katolicy rolnicy, prowadzący włościański tryb życia i urodzeni w guberniach zachodnich, mogą tam nabywać ziemię, z warunkiem wszakże, ażeby ogólna ilość gruntów, pozostających w rękach nabywcy tudzież członków jego rodziny (nieoddzielonych), nie przewyższała, wraz z cząstką nabytą, 60-ciu dziesięcin. Rozporządzenie to wywołało liczne komentarze w prasie rosyjskiej, obecnie zaś nowe pismo, *Siewiernyj Kurjer*, zamieszcza w tej sprawie obszerne wyjaśnienie, zasługujące ze wszech miar na uwagę. Rozkaz powyżej cytowany obwieszczono tylko w formie cyrkularza ministeryalnego, rozesłanego do gubernatorów gubernij zachodnich. Nie jest więc to żadne nowe prawo lub zmiana dawnego w ścisłem znaczeniu. Jak wiadomo, prawa osób pochodzenia polskiego do roku 1865 nie były wcale ograniczone. Normowano je na zasadzie ogólnych praw cywilnych. Ograniczenia zaś datują się od d. 10 grudnia 1865 r. i 27 grudnia 1884 r. Wszelkie inne prawa i rozporządzenia rządowe są tylko następstwem powyższych.

Ponieważ ograniczenie praw (10 grudnia 1865) zastosowano tylko do szlachty i mieszczan pochodzenia polskiego, a nic nie powiedziano co do włościan, więc gdy w r. 1868 wynikła kwestya nabywania ziemi przez włościan pochodzenia polskiego, rozkaz Najwyższy (14 czerwca 1868 r.) wyjaśnił, że ograniczenie co do własności (z 10 grudnia 1865) dotyczy nie włościan, lecz tylko obywateli Polaków. Włościanie zaś (Polacy) korzystają z praw ogólnych w tej mierze. Wszystkie tedy postanowie-

HAŃBA.

(Dokończenie).

Pióro pana Ignacego skrzypi odpowiedź hrabiny zwolna, starannie, wprawnie, a przed oczami roją mu się dziewczątka z dużemi piłkami gumowemi i chłopczyki bawiący się w konie — dziatwa ma buziaki umazane w powidełkach, błyszczące wargi od świeżego masła i oczęta pełne łez na wspomnienie o zjedzonych cukierkach. Jeden zwłaszcza pędrak w niebieskich pludrach patrzy panu Ignacemu prosto w oczy z pod samego końca stalówki, patrzy i uśmiecha się... Nagle, koniec ruchliwej stalówki błysnął i puścił trzy, czy cztery cieniutkie promyczki; panu Ignacemu zrobiło się ciepło w oku, z początku nie mógł go zamknąć, po chwili mrugnął... pac!... spojrzał na papier i porwał machinalnie za bibułę: łza spadła na piękne, duże B, spadła na dolną część litery przedtem foremnej i rozszerzyła nadmiernie tak zwany dolny brzuszek. Zamiast ją wyciągnąć bibułą, pan Ignacy po raz pierwszy obojętnie patrzył na to, jak się łza powoli rozlewała, jak błyszczała przez chwilę, poczem wsiąkła w papier.

— Maniuta jest teraz zupełnie podobna do tego B...

Odsunął od siebie papier, czując, że ta łza nie była ostatnia. Gdybyż on mógł teraz skopiować ten oryginał, który mu się rozwijał w piersiach i sercu... arcydzieło!...

...Tyle starań, tyle kombinacyj, zanim się człowiek ożeni, a później te pierwsze oznaki, te niczem nieusprawiedliwione żonine grymasy, zrozumiałe dla uszczęśliwionego przyszłego ojca, a nadewszystko ten pierwszy płacz maleństwa... Podobno są mężczyźni, którzy tego wszystkiego nie znoszą— nieszczęśliwi albo zwyrodniali — wszak to rozkosze! Dwoje ludzi — mężczyzna i kobieta święcą tryumf natury, której są kapłanami... a Maniuta sama jedna...

Coś mówi panu Ignacemu, że objaw jest ten sam, lecz jednocześnie drży na samą myśl o tej okropnej różnicy.

— Szelma dziewczyna: uwinęła się w sekrecie przed rodzicami i kościołem... a może ona się nie spodziewała, może się broniła, gryzła go?... Stanęły panu Ignacemu w myśli obrazy młodości, gdy upewniał młode dziewczęta, że nie mają się czego obawiać; raz nawet udało mu się, ale to była prosta dziewka...

Przepisywacz aż oczy przymknął, tak podłym wydał mu się ten argument.

Cisną mu się do głowy setki zapytań, które powinny zmusić Maniutę do tłomaczeń. Czy córka porządnych rodziców, czy biedna dziewczyna, mająca jedyny posag w swem zdrowiu i w cnocie, czy kochające dziecko i czy kobieta, która chce być żoną i matką, nie ladacznicą?...

Tak się te pytania zaczynały, a kończyły się w ten sposób: czy ta córka, biedna dziewczyna, będąca pod opieką rodziców, czy wogóle kobieta powinna oddać się przed ślubem?

Ni stąd, ni zowąd zaczął pan Ignacy, który dwadzieścia lat temu skończył gimnazyum, filozofować.

Jak mała cząsteczka chwały jest udziałem natury podczas przyjścia na świat dziecięcia! Najbliżsi otaczają niemowlę. Ojciec jest dumny, dziadek i babka patrzą na ojca z zachwytem, a na dziecko ze łzą w oku. Kochają to małe ciałko od pierwszej chwili, bo to ich wnusio, syn ich syna, albo córka ich córki. Ojciec dał mu nazwisko, pracować nań będzie, aby się to nie kołatało po świecie na łasce obcych. Dziadek ma niewielki kapitalik w banku— to dla tej odrobiny, babka ma w pończosze kilkaset rubelków — to dla małego figlarza. Jest ogromnie do ojca podobny—

nia z r. 1865, 1868 i 1884, jak również wszystkie prawa, ograniczające własność ziemską w guberniach zachodnich, wyraźnie dowodzą, że Polacy-włościanie nie byli skrępowani nietylko co do prawa nabywania ziemi, ale i jej rozmiarów.

W rozkazach Najwyższych z 4 lutego 1866 r. i 21 czerwca 1865 r., dotyczących sposobu udowodnienia, że nabywca nie podlega prawom ograniczającym, niema wcale wzmianki o ilości ziemi. Następnie rozkaz Najwyższy z 1 listopada 1886 roku pozostawia uznaniu miejscowej władzy administracyjnej w kraju zachodnim wydawanie lub niewydawanie świadectw na prawo kupna majątków. O ilości zaś ziemi nabytej niema także mowy.

Prawa powyżej cytowane wydano dla wzmocnienia własności rosyjskiej w guberniach zachodnich. „Nie miały zaś one i nie mogły — jak mówi *Siewiernyj Kurier* — mieć na celu zniżenia wartości ziemi w kraju zachodnim, a więc dlatego prawo mogło pozostawić i pozostawiło uznaniu miejscowej władzy administracyjnej tylko to, czy dana osoba należy do odpowiedniej kategoryi społecznej, która ma prawo nabywać majątki nieruchome w kraju zachodnim i czy zasługuje ona na zaufanie władzy; ale nie mogło pozostawić i nie pozostawiło jej uznaniu określenia ilości ziemi, jaką dana osoba może nabyć, albowiem: 1) jeżeli osoba owa posiada prawo i wzbudza zaufanie władzy, to nie może być ograniczana pod względem ilości ziemi; w interesie zaś rządu leży, ażeby takie osoby nabywały możliwie najwięcej ziemi. 2) Gdyby takie ograniczenie wydano, to siłą praw ekonomicznych znacznie zniżyłoby ono wartość ziemi, co nie może leżeć w interesach ogólno-państwowych.

Prawda, że władza administracyjna i instytucye rządowe w kraju zachodnim tłomaczyły prawa powyższe w innym sensie, mianowicie, że włościanie-Polacy mogą być ograniczani w prawie kupna ziemi, że wolno im nabywać najwyżej 60 dziesięcin gruntu; ale takie tłomaczenie nie było zgodne z rzeczywistym duchem prawa, ostatecznie więc odrzucił je w r. 1898 cywilny departament kasacyjny senatu rządzącego w sprawie Radziukiewicza. (Zb. pr. 29 z r 1899).

Tym sposobem mamy niezbite dowody, że włościanie-Polacy nie byli krępowani ani wogóle w prawie nabywania ziemi, ani w rozmiarach tego prawa. A ponieważ z prerogatyw tych mogą korzystać na mocy prawa ogólnego, więc ograniczenie ich w tej mierze lub pozbawienie ich prawa rzeczonego może nastąpić tylko na mocy art. 72 i 73, t. I, cz. I, wyd. 1892, zasadniczych praw państwowych drogą publicznego ogłoszenia praw odpowiednich. Oczywiście wzmiankowane powyżej obwieszczenia okólnikowe p. ministra spraw wewnętrznych, przesłane gubernatorom kraju zachodniego, dotyczą nie włościan miejscowych, lecz osób innych stanów, mianowicie szlachty i mieszczan pochodzenia polskiego.

Na zasadzie rozkazu Najwyższego z d. 1 listopada 1886 r. przywrócono moc obowiązującą wszystkim bez wyjątku świadectwom, wydanym na kupno majątków w kraju Zachodnim, zarówno osobom rosyjskiego, jak i nierosyjskiego pochodzenia i pozostawiono do uznania miejscowych generał-gubernatorów i gubernatorów wydawanie takich świadectw. „Obecnie rząd najwidoczniej — pisze *Siewiernyj Kurjer* — uznał za rzecz niezupełnie dogodną pozostawienie rozstrzygania tych praw do zupełnego uznania pp. gubernatorów. Dlatego też uważał za konieczne poczynić w tej mierze pewne wskazówki. Katolicy, urodzeni w kraju zachodnim, prowadzący włościański tryb życia i zajmujący się osobiście rolnictwem, wcale się nie różnią od miejscowych włościan-katolików. Skutkiem tego rząd uważał za rzecz niezbędną wyjaśnić za pomocą okólnika pp. gubernatorom, że osobom takim mogą oni wydawać świadectwa na kupno ziemi, najwyżej 60 dziesięcin, co pp. gubernatorowie wobec pozostawienia im (1 listopada 1886 r.) prawa dyskrecyonalnego, w razach wyjątkowych mogli i dawniej czynić, przed otrzymaniem wyjaśnienia okólnikowego.

Racyonalność takiego poglądu stwierdza z jednej strony to, że rozkaz Najwyższy z d. 3 marca 1899 r. nie był ogłoszony publicznie, lecz tylko okólnikowo przesłany przez p. ministra do gubernatorów, co według ducha rosyjskich praw państwowych zasadniczych mogło być uczynione tylko za pośrednictwem takiego rozkazu Najwyższego, który nie jest prawem ograniczającem lub uchylającem siłę prawa ogólnego, lecz tylko wyjaśnieniem autentycznem. Z drugiej strony pogląd powyższy stwierdza jeszcze ta okoliczność, że rozkaz Najwyższy z 4 marca 1899 r. jest wynikiem ekscepcyi z prawa, ogłoszonego 10 grudnia 1865 r., to zaś prawo wcale nie dotyczy włościan - katolików, lecz całej szlachty i mieszczan pochodzenia polskiego, a więc i takich, którzy prowadzą włościański tryb życia.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Pierwsze przebłyski polityki nowego prezesa W. Ks. Poznańskiego. — Co wywołał piesek p. Grabskiego? — Nowy pomysł hakatystów. — Kwestya wydalania na zebraniu stronnictwa wolnomyślnego. — Przywrócenie języka polskiego. — Zmiana w prasie.

Nowy prezes W. Ks. Poznańskiego już zaczyna coraz wyraźniej ujawniać politykę germanizacyjną. Przedewszystkiem zwrócił swoją szczególną uwagę na duchowieństwo, zaczął natarczywie domagać się kary na tych księży, których błahe sprawy były wyjaśnione i umorzone już za Wilamowitza. Następnie złożył ciężko choremu arcybiskupowi Stablewskiemu wizytę, ażeby mu ze stanowiska władzy wypowiedzieć parę ostrych przestróg politycznych, zażądał otoczenia Niemców - katolików szczególną opieką tudzież równouprawnienia języka niemieckiego w nowym kościele katolickim, w wielkiej gminie jeżyckiej pod Poznaniem, pomimo, że Niemcy-katolicy stanowią tam zaledwie ósmą część ogólnej liczby parafian. Podkreślamy te fakty dlatego, ażeby zaznaczyć, jak obecnie nowy

---

wybornie—to jego nieodrodny syn. Pierwsza zepsuta zabawka świadczy, że malec będzie inżenierem, pierwsza książka podarta - Staś ma zakrój na uczonego; dziecko lubi oglądać fotografie — będzie artystą, nie fotografem; naśladuje kształty liter — będzie powieściopisarzem, nie przepisywaczem cudzych utworów... Nikt nie zastanawia się nad tem, że dziecię żyje, lecz każdy patrzy w przyszłość i przez to nieraz przeklinu się to młode życie... A matka? Po męce przebytej czuje potęgę życia, któremu dała początek, a jeżeli ona przeklina, to już musi w tem być wielkie nieszczęście, albo hańba. Gdyby ktoś dowiódł rodzicom, że ich pociecha będzie oszustem lub rozbójnikiem i poprosił o pozwolenie zgładzenia dzieciny, ojciec zgodzi się na to, dziadkowie z pobożną łzą w oku zgodzą się, trudniej będzie z nimi, niż z ojcem, lecz zgodzą się — matka się nigdy nie zgodzi. Duszenie nowonarodzonych przez dziewczęta — to prawie samobójstwo. A jednak wypadki podobne zdarzają się bardzo często.

Wszak to zdanie z *Kuryera*: „znaleziono dziecię płci męzkiej" — to chrzest podrzutka, a owo: „na schodach domu N. stróż znalazł zwłoki kilkodniowego niemowlęcia płci żeńskiej" — to nekrolog znajdy. Dzielą los powieściopisarzy: pisma notują dzień ich urodzin i śmierci... Czy powinny mieć miejsce takie wypadki? Czy panny mają prawo zapominać się? Czy uwodziciele powinni być karani? Co ma robić taka dziewczyna? Zabija dziecię, bo się wstydzi, wstydzi się, gdyż nie ma męża. Czy powinna zabić? Nie powinna mieć dziecka! A jednak ma...

Panu Ignacemu przyszło na myśl porównanie z jednej powieści znakomitego autora: natura — to lichwiarz, moralność to puszcz, wszędzie włazi, wszędzie powien siebie i wesół, lecz gdy się spotka z lichwiarzem oko w oko, traci humor, klepie się po kieszeniach, czuje, że trzeba oddać, widzi, że nie może, więc — umyka, no i płaci w końcu z grubym procentem. Podoba się panu Ignacemu to porównanie. Przypomniał sobie, że przepisywał nowelkę, której notabene nie przyjęto do druku, a autor jej zwaryował z tego powodu. Myślą przewodnią utworu było nielegalne urodzenie, które autor postawił wyżej od prawnego... Powinni byli wydrukować... W dzisiejszych czasach wpłynęłoby to na opinię — ludzie czują jeszcze taki wstręt do tych bezimiennych i dlaczego?..

...Spocił się biedny człowiek... wstał i rozejrzał się po pokoju.

Pani Aniela utknęła głową w płótno, które szyła i tak siedziała bez ruchu, trzymając za rączkę od maszynowej korby. Panu Ignacemu wydaje się, że w pokoju jest za cicho: można nie być awanturnikiem, ale przecież prosty chłop ma prawo w takich razach... co? Nie wie, co ma robić, zazdrości w tej chwili zwyczajnemu Grzeli, który niewiernej kobiecie oddziabuje siekierą łeb, zazdrości „chamowi," który jednem kopnięciem nogi niweczy hańbę, za którą cała wieś mogłaby go wytykać palcami.

Przez chwilę człowiek ten czekał jak w teatrze na wystrzał w pokoju Maniuty, na ostatni jęk... Wstrząsał nim taki żal wściekły, a zarazem ogarniała go taka mdła niemoc, że przestał przedmioty rozpoznawać: wszystko mu się przed oczami zmieniło... W kącie, koło kredensu, stoi malutkie krzesełko, niegdyś kupione dla Maniuty... Tę zabawkę poznaje, wlepił w nią oczy i ujrzał na krzesełku małe dziecko, które kiwa nań rączętami. To Maniuta... jaka uradowana... siedzi, jak pani, nóżki ma do samej ziemi, co jej sprawia nieopisaną rozkosz... dziecko! Maniuta bierze krzesełko za nóżki i stawia go na dużem krześle, poczem woła z zachwytem: „Tato, patrz, jak ładnie krzesełko siedzi, tato, Maniuta chce usiąść na krzesełku, ale tak wysoko, tato, podsadzić, Maniuta chce koniecznie." Pierwsze wybryki... Pan

gospodarz zaczyna pracować na rzecz idei germanizacyjnej.

Hakatyści tedy już ręce zacierają, ale jeszcze nie zapomnieli poprzednika i od czasu do czasu grożą mu pięściami. Jest to dla nas rzecz obojętna, bo obaj mieli i mają zawsze jednakowe cele i dążności, tylko obrali sobie inne środki i inne systemy.

Mamy tym razem do zaznaczenia inny fakt charakterystyczny, pozostający cokolwiek w związku z p. Wilamowitzem. Ażeby nie stracić barwy, nadanej temu zdarzeniu, musimy najpierw rzucić na nie światło ze specyalnej latarki *Deutsche Zeitung*:

„Niedawno w Inowrocławiu odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika cesarza Wilhelma, na której, jako przedstawiciel monarchy, był obecny także syn księcia Albrechta, książę Fryderyk Henryk. Przy sposobności nadano kilka orderów. W szczupłej garstce wybranych znalazł się także Polak, pan Grabski, brat posła polskiego, który w żądaniach polskich niczem się nie różni od swych ziomków. P. Grabski, w ten sposób odznaczony, niedawno był skazany na karę policyjną 3 mar. za przekroczenie pewnego rozporządzenia policyi. Nie zapłacił tej kary, lecz oświadczył, że czytuje tylko gazety polskie, a ponieważ ustawy nie są w nich ogłaszane, więc nie może nic wiedzieć. Zarząd policyi doniósł o tem landratowi, ponieważ dowiedział się, że p. Grabski jest na liście nagród orderowych. Pan landrat wszakże nic już nie mógł zdziałać w tej sprawie i ks. Fryderyk Henryk przywiózł rzeczywiście order do Inowrocławia. Kto zaś nie przybył ani na uroczystości odsłonienia pomnika, ani następnie na bankiet?—Pan Grabski? Ten jegomość „zasłużony“ pozostał najspokojniej w domu i kazał tylko powiedzieć, że jest chory i dlatego na uroczystość nie pospieszył. Choroba ta jednakże nie przeszkodziła mu wkrótce potem wziąć udziału w polskiem zebraniu wyborczem w Witkowie.“

Zirytowany organ powyższy nie może strawić tego orderu i ciska pioruny na p. Wilamowitza za to, że Polaka, myślącego i mówiącego po polsku, zaproponował do nagrody orderowej. Czy panu Grabskiemu chodziło o order, czy bardzo by się zmartwił, gdyby mu nie dano tej nagrody, nie wiem, ale wiem na pewno, że mniej by to odczuł i mniej popsułby sobie żółci, niż biedny organ powyżej cytowany, tem odznaczeniem zuchwalego Polaka, którego nielegalność uwydatnił... jego piesek biały. Tak! Piesek biały p. Grabskiego wybiegł sobie na ulicę, pokręcił ogonem, poszczekał, może nawet złem okiem popatrzył na policyanta pruskiego, dość że wywołał nieufność i niezadowolenie w stróżu porządku publicznego. Psa zuchwalca aresztowano, a na jego właściciela nałożono karę. Pies oczywiście nie winien, bo czytać nie umie, więc nie wiedział, że gdzieś w okolicy podmiejskiej jego nieszczęśliwy brat z krwi i sierści wściekł się i narobił strachu. Ale winien właściciel, że nie przeczytał rozporządzenia policyjnego. Nie przeczytał zaś go dlatego, że burmistrz Inowrocławia, p. Kollath, swoje rozporządzenie ogłosił tylko w *Kuj. Bote*, którego żaden Polak nie czyta. Oczywiście jeżeli Polak nie czyta, to tem bardziej pies Polaka nie mógł przeczytać rozporządzenia, które bezpośrednio dotyczy jego skóry. W zasadzie winna tedy jest policya, że gwoli wymaganiom hakatyzmu, nie ogłosiła rozporządzenia w *Dzienniku kujawskim*. Rozgoryczenie i gniew tem większy, że burmistrz nie mógł kary ściągnąć z p. Grabskiego, a landrat nie potrafił powstrzymać nagrody orderowej. Niechno teraz piesek biały p. Grabskiego spróbuje popatrzyć na nich niedobrem okiem. Będzie się miał z pyszna!

Walka z żywiołem polskim trwa nieustannie, przybiera przedziwne i przeróżne formy. Prusacy, nieprzebrani w pomysłach, płodzą je ze zdumiewającą wytrwałością. Oto obecnie myślą nad zagładą „odwiecznych gniazd polskich“ w Poznańskiem. Temi gniazdami są małe miasteczka, które należy zamienić na gminy wiejskie. Zmiana ta ma na celu podkopanie rzemiosł polskich, a nawet zupełną ich zagładę w wielu miejscowościach.

Nie wszystkie jednak pomysły są korzystne dla Niemców. Oto np. wydalania Polaków sprowadziły jaknajgorsze dla nich następstwa. Niedawno stronnictwo wolnomyślne w Poznaniu zwołało zebranie, na którem poseł do sejmu pruskiego z m. Poznania, p. Kindler, potrącił o kwestyę wydalania Polaków i dziwił się niepomiernie, jak konserwatyści mogli głosować za tym środkiem, skoro obecnie dotkliwie odczuwają brak robotników na wsi.

Samowola prześladowców czasem zbyt daleko sięga. Oto np. w Chełmnie, skutkiem rewizyi radcy ministeryalnego, p. Meinertza, zniesiono naukę języka polskiego w trzech niższych klasach gimnazyum. Ale wkrótce, według doniesień *Dziennika Poznańskiego*, znowu ma być przywrócona. Podobno przyczyną tego jest zbytni pośpiech dyrektora, który się nie doczekał zezwolenia swej bezpośredniej władzy prowincyonalnego kolegium szkolnego w Gdańsku. Obecnie nakazało ono język polski przywrócić i udzielać jego lekcyi, jak dawniej.

W prasie miejscowej zapowiadziane są zmiany. *Goniec Wielkopolski* (pismo codzienne polityczne, wydawane w Poznaniu) ma przejść na własność p. Józefa Kościelskiego z Miłosławia, kierownictwo zaś ma być powierzone dr. Dyonizemu Karchowskiemu.

et.

LISTY Z PARYŻA.

23 listopada.

Pierwsze posiedzenia Izby posłów. — Książę Orleański współpracownikiem dziennika *Eclair*. — Sympatye dla Boerów. — Przyczynek doktora Cabanesa do biografii Chopina.

Zebrała się nareszcie Izba w połowie ubiegłego tygodnia po długim wypoczynku wakacyjnym. Spodziewano się, że pierwsze jej posiedzenie będzie nadzwyczaj burzliwe. Konserwatywna opozycya, zgrupowana pod sztandarem Meline'a, miała wytoczyć wszystkie armaty i rozbić w puch twierdzę Waldeck-Rousseaua. Ale przepowiednie pism niechętnych teraźniejszym ministrom okazały się równie mylnemi, jak wróżba, którą Falb nastraszył świat. Ani kometa nie roztrąciła w puch ziemi w połowie listopada, ani gabinet francuski nie runął.

Trochę kłócono się — i na tem koniec. Wszak to rzecz zwykła w parlamentach. Denys Cochin skarcił prezesa ministrów. Jednomyślni mówcy, Grandmaison i Lasies, pomagali mu. Przedstawiciel skrajnej lewicy, Zévacs, urozmaicił wywody wstecznikow natarciem na gabinet ze stanowiska socyalistycznego. Następnie poczęto odcinać ich. Galliffet odpowiedział bardzo energicznie i krótko na zarzuty dotyczące usunięcia kilku oficerów z armii, Viviani wygłosił obronę ministra Millerand i jego towarzyszów, a nazajutrz Waldeck-Rousseau odparł wszystkie wymierzone weń interpelacye mową, naechowaną rozsądkiem i umiarkowaniem. Główny jej ustęp dotyczył stosunku rządu do kleru, potem do syndykatów.

Ignacy ma ochotę kupić milion takich krzesełek, ustawić jedno na drugiem tak, ażeby ostatnie było w obłokach, a on by z ochotą podsadził tam dziecko Maniuty, żeby go nikt nie mógł dostać...

— Niech ginie, co mi tam, nie chcę go znać! — gestykuluje biedny ojciec... I ujrzał całe szeregi córek wypędzonych z domu rodzicielskiego, sale szpitalne, siostry miłosierdzia, doktorów, ochronki, a potem gromadę niewiadomego pochodzenia lokajów, furmanów, kajdaniarzy — ani jednego urzędnika, ani jednego porządnego ojca rodziny. Mignęła mu, co prawda, postać Tadeusza Bezimiennego, lecz machnął ręką i mimowoli rzucił okiem na ludzkie rękopisy.

— Doczekałem się — wycedził. Ale nowy ogarnął go niepokój.

— Czy ja właściwie czekałem na cośkolwiek? Cały dzień piszę przy tym stoliku, a tu mijały dnie, tygodnie, miesiące.— Przypomniało mu się, jak on niecierpliwie czekał na Maniutę.

— Chciałem córki i miałem córkę; będę miał najprędzej wnuczkę — ja mam szczęście do dziewczyn.

Zbliża się do żony, nadstawia ucha — śpi.

Na palcach idzie do drzwi i po chwili znika za niemi.

— Kto tam?

— To ja, Maniuto.

— Po co ojciec tu przychodzi, czemu ojciec nie pisze?

— Tak przyszedłem, zmęczyło mnie już pisanie, nie mogę — mówił łagodnie proszącym tonem.

Maniuta była w łóżku, a owe poduszki obok na fotelu. Pod kołdrą uwydatniały się kształty przyszłej matki. Pod wpływem wzroku ojca instynktownie zgięła nogi w kolanach, ażeby ukryć swój wstyd.

Patrzą na siebie...

Nagle Maniuta jednym zamachem ręki zrzuciła z siebie kołdrę i wyprężyła się. Pozostała tak bezwładnie w koszuli.

— No, czy już dosyć? Napatrzył się ojciec?...

Ani słowa odpowiedzi.

— No, bo się przykryję!

Ani słowa.

Rozległ się cichy śmiech Maniuty.

Wzrokiem wskazując ojcu na swój stan, zaczęła mówić:

— Co, ładny pączek? Będzie z tego pączka kwiatek! Ładny, nic ma co mówić. To tak z miłości... to przejdzie... co?

Obie ręce podniosła do góry, ażeby się uderzyć...

Pan Ignacy poskoczył naprzód i pochwycił zaciśnięte pięści Maniuty.

— Bój się Boga, Maniutu! Zabijesz!

— Co zabiję? Albo ja wiem, co to jest: jakaś puchlina... to wrzód...

Zaniosła się od śmiechu...

— No, czego mnie tatko trzyma za ręce, czemu się tatko trzęsie, co to, tatko płacze.

Łzy kapały z oczu pana Ignacego na koszulę Maniuty, z początku ciepłe, a po chwili chłodne, mokre... ciągle w jedno miejsce... Spojrzała ojcu w oczy — coś ją ciągnie do tej twarzy zmęczonej. Przyciąga go do siebie, a pan Ignacy padł na jej piersi i zaszlochał.

— Wie tatko, mama chciała koniecznie zniszczyć to, póki była pora; podobno są takie lekarstwa. Mówiła, że doktór się podejmie, ale ja nie chciałam.

— Dlaczego?—zapytał pan Ignacy z ciekawości więcej, niż ze zdziwienia...

— Jakto, dlaczego? Bo ja wiem. Zdaje mi się, że to byłoby bardzo źle, żal mi było...

— Czego ci było żal? — zapytał ojciec drżącym głosem.

— Czego? Ano tego, tej... no, tej całej miłości.

Płakała i śmiała się jednocześnie, a panu Ignacemu w tem całem nieszczęściu przyszło na myśl, że na świecie jest jeszcze dużo dobrego, że zwłaszcza w takiej

Dopóki stosunki z kościołem — brzmi on — opierać się będą na ugodzie, będziemy ją szanować i bronić. Nie możemy atoli zlować kleru z niektóremi stowarzyszeniami duchownemi, coraz bardziej rosnącemi i coraz groźniejszemi, a w dodatku chcącemi, o dziwo, uzyskać od rzeczypospolitej to, czego nigdy nie otrzymały od monarchii. Rzeczpospolita musi bronić się przed niemi do pewnego stopnia. Co się zaś tyczy syndykatów zawodowych, państwo zostawia im jak najszerszy zakres działalności, wymaga atoli, aby również zostawały w zgodzie z przepisami porządku publicznego.

Wotum zaufania dla istniejącego ministeryum przeszło następnie ogromną większością (317 głosów przeciw 212).

Na tem zakończył się najważniejszy epizod ubiegłego tygodnia. Po dwóch pierwszych posiedzeniach Izba zapadła w ciszę. Zbierają się, jak dawniej, kluby, schodzą się członkowie komisyj, ale wszystko ma charakter raczej zabawki, niż prawdziwej pracy w kierunku reform.

Wymienić jeszcze wypada jeden ważny fakt: przystąpienia księcia Henryka orleańskiego do współpracownictwa w dzienniku *Eclair*. Ogłosił on w tym tygodniu artykuł pod tytułem: „Polityka zewnętrzna i samowiedza narodowa." Nastrój artykułu, rozumie się, bardzo pesymistyczny. Położenie zewnętrzne Francyi jest, według niego, smutne. Gdyby nawet Richelieu powstał teraz z grobu, nie uczułby chęci ujęcia w ręce steru nawy francuskiej (wyręczyłby go zresztą książę Orleański) i prawdopodobnie poszedłby sobie jak filozof, z wędką na ryby lub z fuzyą na polowanie.

Słabość polityki zewnętrznej wypływa, według pretendenta, z przyczyn następujących:

Niedostatecznym jest zasób praktycznego zmysłu u Francuzów. Ludowi brak zaufania do sfer rządzących. Kierownicy państwa są trapieni obawą odpowiedzialności. Do rządów mieszają się i wywierają na nie wpływ finansiści i kosmopolici (czytaj: nienarodowcy).

Jakże wybrnąć z tego położenia? Są na to tylko dwa sposoby: albo niech na czele państwa stanie rząd wyposażony w dostateczną powagę, który narzuci swoją politykę, albo niech w narodzie wytworzy się opinia publiczna, dość silna, dość poważna i samowiedna, któraby potrafiła wskazać rządowi drogę i nauczyć go, w jaki sposób może zadowolić kraj.

Ogół francuski musi przychylić się do uznania tylko tych dwu wyjść i z tej przyczyny wszyscy dobrzy Francuzi winni przynieść ofiarę z odmiennych swoich poglądów i przychylić się do jednego lub drugiego sposobu rozwiązania kwestyi. Rzeczpospolita zaś parlamentarna nie może wcale wyprowadzić Francyi z obecnych kłopotów.

Rozumie się, że władca *in partibus* wolałby nadewszystko pierwszy sposób, a może nawet w danym razie pomagałby czynnie dobrym Francuzom zrzekać się odmiennych poglądów. Poczem trzymając nad sobą tradycyjny orleański parasol, z którym jego przodek uciekał z Paryża, prowadziłby naród francuski na tory prawdziwego szczęścia.

Sympatye dla Boerów nie zmniejszają się. W radzie miejskiej zaszedł wypadek, który bardzo ucieszył wielu Francuzów. Rojalista Lambelin zaproponował wysłanie „południowo-afrykańskim republikom, które walczą o swą niezależność," wyrazu głębokich sympatyj. Socyalista Labusquière oświadczył się za wnioskiem, żądając tylko, aby uzupełniono go w sposób następujący:

Republikanie Rady miejskiej w Paryżu wyrażają przy tej sposobności żal, iż nazajutrz po konferencyi w Hadze mogła wybuchnąć wojna i protestują przeciw stanowisku Europy, która pozwala mocnemu zmiażdżyć słabszego.

Oba teksty zlano w jeden i tak wniosek przedstawicieli dwu skrajnych stronnictw został przyjęty przez Radę.

Wypadek ów istotnie był bardzo znamienny. Czy nie dziw — pytali ci, na których wywarł dobre wrażenie. Sprawa Dreyfusa rozdzieliła Francyę na obozy, sympatye dla Transwalu łączą ją. Istotnie, zapał dla Boerów zjednoczył wszystkie stronnictwa, co nie znaczy jeszcze, aby w innych dziedzinach nie miały toczyć z sobą walk.

Co do czynnej pomocy Boerom, komitet młodzieży, przeniesiony obecnie do kawiarni Procope'a na ulicy Dawnej Komedyi, otrzymał już sześćset zgłoszeń. Być może, że do czasu wypłynięcia tych ochotników, a ostatecznie do ich przybycia, Boerzy już oczyszczą jedną część wybrzeża.

Kobiety należące do Towarzystwa „dam francuskich poświęconego nauce pielęgnowania i opatrywania rannych," zdołały zebrać już drogą składek więcej niż dziesięć tysięcy franków i pierwszy wóz ratunkowy został już wysłany do Marsylii. Na prowincyi komitety pań krzątają się około tego samego. Do „komitetu republik południowo-amerykańskich," zorganizowanego, jak wspomniałem, przez Monteila i Coppéego, przystąpiło już dotąd wiele wybitnych osobistości.

Z powodu rocznicy szopenowskiej znany przetrząsacz archiwów i korespondencyj, dr. Cabanes, umieścił w swoim dwutygodniku „La chronique médicale" rozprawę o chorobie mistrza. Zajmującą jest ona zwłaszcza dlatego, że zawiera parę nie drukowanych dotąd listów pani Sand i samego Chopina, odnoszących się do jego suchot.

Listy te pisano są do doktora Mollina, który leczył go prawie przez cały czas choroby. Cabanes odnosi je przeważnie do roku 1844.

Pierwszy list pani Sand brzmi:

„Mój drogi doktorze. Chopin jest cierpiącym. Czy chcesz pan przyjść po południu? Bardzo o to proszę. Z całej duszy życzliwa G. S."

Zarówno ten, jak wszystkie inne listy są bez daty. To też nie wiadomo, o ile ma słuszność autor francuski sądząc, że były pisane w pierwszych dniach cierpień Chopina.

Następny: „Doktorze, prosimy cię, abyś nam przybył z pomocą. Pan Chopin posłał swój flakon do apteki, ale aptekarz odmawia wypełnienia go bez pańskiego pozwolenia. Jeśli możesz nas dziś odwiedzić, sprawisz nam przyjemność. Tysiąc pozdrowień. G. Sand."

Czy idzie tu o kojące lekarstwo, czy raczej o roztwór morfiny? Cabanes sądzi, że o morfinę, a dalszy list zdaje się stwierdzać to przypuszczenie.

Znowu pisany przez panią Sand: „Drogi doktorze. Chopin jest bardzo cierpiący. Staraj się przyjść dzisiaj. Ma newralgię w twarzy, wyczerpującą go ogromnie; możesz ją wstrzymać i zapewnić mu spokojną noc."

Następny list mimo swej lakoniczności świadczy (? *Red.*), że autorka „Indyany" współczuła żywo z biednym chorym. „Drogi doktorze — brzmi on — odwiedź Chopina dzisiaj. On wciąż bardzo cierpi i zasmuca się." (On — nie ona! *Red.*).

Gdy śmierć ojca zadała sercu muzyka srogi cios, pani Sand znów kołacze do współudziału lekarza:

„Drogi doktorze, odwiedź mię dziś po pierwszej. Chopin dowiedział się o śmierci ojca. Złamało go to; a przez niego podcięło i mnie. Nie chce widzieć nikogo. Ale

---

młodej dziewczynie jest tyle serca, tyle serca...

Porwał ją za rękę i zaczął całować, a płakać.

— E, kiedy tatko ciągle się maże — rzekła, jak gdyby do siebie.

Pan Ignacy usiadł na łóżku, gdyż dotąd klęczał i nie wypuszczał ręki Maniuty.

Wszystkie pytania, które miał zadać, które powinien był zadać córce, rozpierzchły się nie wiadomo dokąd, a owo znane: gdzie jest ten łotr, który cię uwiódł? — nie postało mu dotąd w myśli — aż go to zdziwiło i przypisał to zmęczeniu. O co, jak o co, ale o tego człowieka powinien zapytać, spokojnie: musi to zrobić... Może sprawca nieszczęścia zechce... czego? Wszak wszystko otrzymał bez umowy: niczego on już nie chce, ten pan.

— Co to za jeden? — zagadnął wprost pan Ignacy.

— Kto? — spytała Maniuta.

Ojciec, chcąc jej i sobie ułatwić dalszą rozmowę, bojąc się wreszcie jakiej sceny, rzekł:

— Czy to ten, który w zimie przychodził tu po fanty?...

— Czego ojciec chce? Jakie fanty, co za fanty?

— Czy matka?

— Co matka? — spytała porywczo Maniuta, bystro patrząc ojcu w oczy.

Strapił się przepisywacz, zapomniał o wszelkich swoich prawach i obowiązkach... Od dziesięciu lat spełnia funkcyę ojca, zarabiającego dwa ruble dziennie.

— Nie, tak się pytam, przecież mnie twój los obchodzi.

Maniuta zapatrzyła się na ojca. Nigdy z nią nie rozmawiał w ten sposób.

— Po co on się tak troszczy? Tamtemu chyba krzywdy nie zrobi — nie potrafi. Obchodzi go mój los: dobry stary. Z początku się uniósł, bo też to przykrość nie lada, ale teraz złagodniał, nie wie nawet, jak się zapytać...

— Boi się — pomyślała i przyszła do wniosku, że jest czego.

Usiadła na łóżku i objąwszy ojca za szyję, spytała:

— O co tatce chodzi?

Ośmielony zaczął:

— Chciałbym się dowiedzieć...

— Potem, potem — rzekła, przymilając się do niego przez łzy i pocałowała go w czoło.

— Dobrze, dobrze — odparł cicho ojciec.

Do pokoju wszedł doktór, a z nim pani Aniela niespokojna i zdziwiona. Trąciła męża:

— Wyjdźże stąd!

Pan Ignacy w pierwszej chwili uczuł dla doktora pewną niechęć.

— Wszak to stróż mojej hańby — pomyślał.

Chciał mu się rzucić do nóg i błagać, ażeby zaradził nieszczęściu, ażeby użył tego lekarstwa, o którem wspomniała Maniuta.

Pani Aniela ponownie zawezwała go do wyjścia.

Posłuszny zwrócił się ku drzwiom, a doktór, nie witając się z nim, usunął się z drogi i przystąpił do łóżka.

Mijając go, pan Ignacy zatrzymał się i rzekł tonem uroczystym:

— Panie doktorze, ja już wiem o wszystkiem.

Pani Aniela wzruszyła ramionami, a lekarz zrobił minę człowieka, który nie wie, o co mianowicie chodzi.

Maniuta nie słyszała tych słów ojca.

Tadeusz Ulanowski.

ja pragnę pomówić z panem o nim. Proszę więc, przyszedłszy, pytać tylko o mnie.“

Jak wszystkie listy tak i dwa ostatnie z podpisem pani Sand, są bez daty. Widoczne jednak z nich, że odnoszą się do późniejszego kresu słabości.

„Niedziela rano.

Drogi doktorze, przyjdź dziś do Chopina; chociaż nie ma kryzysu tak ciężkiego, jak w roku zeszłym, kaszle bardzo od kilku dni i doznaje duszności. Proszę o odwiedziny po południu, abym i ja mogła z panem o nim pomówić.“

„Mój drogi doktorze. Chopin strasznie zakatarzony i od dwóch dni rozpaczliwie kaszle. Przynieś mu więc coś na uspokojenie i przyjdź dziś rano.“

Cabanès ogłasza po raz pierwszy także cztery bilety, pisane przez Chopina do Mollina. Dwa odnoszą się do jego własnej choroby. Jeden krócinchny, bez daty: „Drogi doktorze, bądź łaskaw przyjść dzisiaj; cierpię. Wtorek rano.“

Drugi pisany w chwili polepszenia. Chopin chce wypocząć przez parę dni, ale przed odjazdem porozumiewa się z lekarzem.

„Wszystko gotowe do mego wyjazdu jutro. Lecz nie chcę opuścić Paryża, nie zobaczywszy się z Panem i nie zabrawszy z sobą Jego recept. Proszę więc, chciej łaskawie poświęcić mi jedną chwilkę. Szczerze oddany Chopin.

P. S. Proszę także przyjść z pomocą mej pamięci, gdyż mój notatnik jeszcze bardziej—kaszle, niż ja (skoro to możebne).“

Dwa inne bilety dowodzą troskliwości Chopina o panią Sand. Jeden brzmi: „Pani Sand chora od dwóch dni. Proszę ją odwiedzić *dziś* i to jak najszybciej. Zobowiąże Pan mię tem bardzo.“ Drugi jest podobnej treści.

Przyczynki te są drobne, ale mimo to nie powinny ujść uwadze biografów genialnego muzyka.

W. Bugiel.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Zjazd lekarzy kolejowych.

W Warszawie zebrał się wiec lekarzy kolejowych. Jak to jest odwiecznym zwyczajem synów Eskulapa, i to konsylium osłoniło się zupełną tajemnicą, wyłączającą nawet przedstawicieli prasy. O czem więc radzą uczestnicy zjazdu, nie wiemy, przypuszczamy wszakże, iż głównie zastanawiają się nad następującemi pytaniami:

Co zrobić, ażeby posady lekarzy kolejowych nie były w większości wypadków stanowiskami próżniactwa, niedbalstwa, wyzysku wpływów i daremnego pobierania pensyi?

Co zrobić, ażeby lekarz kolejowy, zwłaszcza naczelny, nie wyręczał się pomocnikami i felczerami?

Co zrobić, ażeby niższy oficyalista — stróż, dróżnik itp. — otrzymał natychmiastową i staranną poradę lekarską, a nie musiał wyczekiwać na nią całymi dniami i tygodniami, lub też zadawalnić się pospiesznie zapisaną receptą?

Słowem, co zrobić, ażeby lekarz kolejowy rzeczywiście pracował dla dobra ludzi, powierzonych jego opiece?

Nie przeczymy, że pomiędzy lekarzami tej kategoryi są jednostki, które sumiennie, gorliwie, a nawet z wielkiem poświęceniem się spełniają swoje obowiązki, ale w sprawach społecznych nie chodzi o wyjątki, lecz o ogół lub co najmniej o większość. A w tej większości zdarzają się często tak gorszące wypadki niedbalstwa, że niepodobna koło nich przejść obojętnie i należy im zapobiegać usilnie. Dopóki zaś najprostsze powinności nie będą wykonywane rzetelnie, na nic się nie zdadzą wszelkie mądre pomysły i plany, wypracowywane na zjazdach. Zarówno bowiem w tej, jak w każdej innej dziedzinie największym do osiągnięcia celem pozostanie to, ażeby każdy na swym zagonie pracował umiejętnie i uczciwie.

Brak nauczycieli.

Przełożeni i przełożone szkół prywatnych skarżą się w roku bieżącym na brak nauczycieli, zwłaszcza wykładających nauki przyrodnicze i język polski. Jest to wynik z jednej strony pomnożenia się tych zakładów, z drugiej zaś zmniejszenia się w ostatniem pokoleniu wychowańców uniwersytetu chęci do zawodu nauczycielskiego. Rzeczywiście zawód ten nie należy ani do rozkosznych, ani do korzystnych i przez wielu wybierany był nie z zamiłowania, lecz z potrzeby. Co miał robić młody człowiek po wyjściu z uniwersytetu, jeśli albo nie znalazł żadnej pracy, albo niedostateczną? Szukał lekcyj. Dawali je też nietylko filolodzy i matematycy, ale nawet prawnicy i medycy. Chociaż niejeden z tych całkiem przygodnych pedagogów takim zarobkiem ratował swoje położenie, nie był do niego przywiązanym i skwapliwie przenosił się na inne pole, bardziej odpowiadające jego zdolnościom i bezpieczniejsze. Rozwój przemysłu wraz z powiększeniem liczby szkół technicznych bardzo silnie odciągnął naszą młodzież ku zawodom praktycznym. Skutkiem tych przyczyn okazał się dotkliwy niedostatek nauczycieli w szkołach prywatnych. Nie myślimy zmieniać tego objawu, zależącego od układu stosunków społecznych, ale wyznajemy, że on pod pewnym względem jest wielce niepożądanym. W tych szkołach wychowuje się masa naszej młodzieży, nie może więc być dla nas obojętnem, jakie siły obejmują nad nią przewodnictwo. A naturalnie w braku dobrych zajmą ich miejsce złe i nieudolne.

Z Towarzystwa ogrodniczego.

Towarzystwo ogrodnicze, bardzo podobne do owej Marysi, która nie mogła rozpocząć tańca, bo jej ciągle coś przeszkadzało, nawet spódnica, zapewnia nareszcie, że już wkrótce puści się w tany, to znaczy, że zajmie się ogrodnictwem. Ostatnie bowiem zebranie członków upoważniło zarząd do sprzedaży po 7 rubli 21,000 łokci placu z Bagateli, co ma uwolnić instytucyę od długów i „rozwiązać jej ręce.“ No, jeszcze nie bijmy w dzwony. Dopiero jest upoważnienie, a ma nastąpić sprzedanie, co przy obecnej niechęci do nabywania placów może odwlec się bardzo długo, tak długo, że młodzi członkowie Towarzystwa przyślą swoich wnuków na pierwsze obrady, poświęcone przedmiotom ściśle ogrodniczym. Niech czytelnik usprawiedliwi naszą długą i zmęczoną cierpliwość z optymistycznego przypuszczenia, że zdarzy się to już w przyszłem stuleciu, którego taki wypadek będzie wielką chlubą. Może za ileś lat zapiszemy w kronikach: „Dziś spotkały się w historyi Towarzystwa ogrodniczego ważne wypadki: święciło ono 50-letni jubileusz swego istnienia, zebrało pierwszy lut nasion swojej hodowli i wypuściło w świat pierwsze drzewko ze swoich szkółek.“

Tymczasem urządziło ono dla włościan tanią (30 kop. za sztukę) sprzedaż szczepków. Po sławnej przez kilka laty licytacyi falszywie etykietowanych lub nieetykietowanych kalek ze szkółki Towarzystwa w Jankowie, która obdarzyła chłopów wielu delikatnemi odmianami bez żadnej wartości dla sadów przy chatach, drżeliśmy z obawy, ażeby na biednych prostaczków nie spadła po raz drugi taka łaska, która ich tylko zniechęcić może do hodowli drzew owocowych. Ale srogi los nie ulitował się nad niemi. Obecnie sprzedano im znowu wybierki ze szkółek prywatnych — pozostałość, która nie znalazła nabywców, a w której również znajdowało się wiele odmian dla chłopskiego sadu nieodpowiednich. Zaiste, nasz lud ma prawo mówić o Towarzystwie ogrodniczem: *Timeo Danaos et dona ferentes*. Słyszeliśmy, że jeden z najsumienniejszych członków zarządu odsiał z tych 30-kopiejkowych „darów“ gatunki nienadające się zupełnie do ogrodów włościańskich, weszło wszakże do nich jeszcze dosyć niepotrzebnych. Bodajby to już było ostatnie dobrodziejstwo. Niech lepiej Towarzystwo, dopóki samo nie będzie miało odpowiedniego doboru, wcale nie uszczęśliwia chłopów taniemi drzewkami, niż ma ich narażać na straty i zawody.

Sieroty społeczne.

Nie trzeba długo czekać, ażeby pożyteczność dobrej instytucyi społecznej wykazała się bardzo szybko. Zwłaszcza wszystkie przytułki i ochrony dla dzieci warstw uboższych, tak u nas nieliczne a tak niezbędne, są natychmiast po otwarciu oblegano przez tłumy, które się w nich pomieścić nie mogą. Jak wiadomo, niedawno powstał przytułek dobroczynny, powierzony kierownictwu księdza Siemca, dla chłopców starszych, pozbawionych opieki. Jest to wszakże drobny upust, który nie zdoła odprowadzić morza nędzy. Warszawa posiada ogromne zastępy wyrostków obojga płci, których rodzice, oderwani pracą, często pozadomową, nie są w stanie czuwać nad nimi. Więc się to biedactwo tuła po ulicach, placach, podwórzach, głodne, obdarte i wcześnie zdemoralizowane. Z nich to rekrutują się szeregi włóczęgów, złodziejów, rabusiów, cała ta upadła moralnie rzesza, z którą społeczeństwo i sądy daremnie walczą i która swymi zdrożnymi czynami mści się za poniewierkę losu. W sprawie tych istot nieszczęśliwych i szkodliwych, tych sierot społecznych odzywają się przyjacielskie głosy bardzo rzadko, bo przecież nasza uwaga oddawna przeszła w dzierżawę teatru i sportów, jednakże od czasu do czasu ktoś poruszy dzwonek miłosierdzia. Czyni to obecnie p. A. Morzkowska. Co należy zrobić—wiadomo, chodzi tylko o to, ażeby ludzie, mogący i chcący ze swych środków czynić ofiary społeczne, zwrócili swą dobrą wolę w tę stronę. Najstaranniejsza kanalizacya policyjno-sądowa nie zniszczy tych mętów — trzeba zapobiegać ich wytwarzaniu się.

BADANIA NAUKOWE.

NOWE DZIEŁA O GENIUSZU*).

III.

Dzieło prof. Odina jest pod tym względem ważne, iż sprawdziło mniemanie, o którem wszyscy byliśmy mniej więcej przekonani, że przy odpowiedniem wychowaniu i przy odpowiednich warunkach materyalnych możnaby z średnich typów ludzkich potworzyć całe armie pisarzów, artystów, uczonych itp., zdolnych nawet wyrobić sobie imię, ale bynajmniej niebędących ani geniuszami, ani „ludźmi wielkimi.“ Potwierdzenie tej prawdy jest już znaczną zasługą, ale jeżeli autor myślał, iż w dwu swych olbrzymich

*) A. Odin: *Genèse des grandes hommes*, 2 tomy.

tomach dał nam istotnie „genezę geniuszów,“ jak to tytuł każe przypuszczać, to się mocno mylił. Dzieło jego traktuje mianowicie o wszystkiem, tylko nie o geniuszu. Odin zaczyna od tego, iż rozpatruje teorye historyozoficzne, od Herodota aż do Marxa i Engelsa. Zauważmy, iż pozostaje on pod wpływem teoryi tych dwu ostatnich myślicieli, czyli t. zw. materyalizmu ekonomicznego i całe swe badanie rzeczywiście skierowywa ku temu, żeby teoryę tę potwierdzić. W tym celu używa metody statystycznej w zastosowaniu do „wielkich ludzi.“

Któż jednak może być zaliczonym do ich szeregu? Jedynym probierzem pod tym względem jest, zdaniem Odina, opinia publiczna: ona jedna nadaje badaniu charakter przedmiotowy, gdyż sam autor nie może oczywiście według swego widzimisię nazywać jednych geniuszami, innych zaś uważać za zwykłych śmiertelników. Swych wielkich ludzi odnajduje więc w „Dictionnaire encyclopedique“ Gregoire'a — w „Dictionnaire des contemporains“ Vapereau'a, w „Konversations-Lexicon“ Meyera i w angielskim „Men of the time.“

Panującym powszechnie jest pogląd, iż na wytworzenie wielkich ludzi składa się dziedziczność i środowisko, należy jednak określić, w jakim stopniu każdy z tych dwu czynników wywiera wpływ. Autor przystępuje do badania tej kwestyi z wielką ostrożnością: chce porównywać tylko takich ludzi, do których probierz wspólny zastosowany być może i to w ilości dostatecznej, żeby wyniki miały wartość ogólną. Nie można więc według Odina porównywać poety z generałem, ani malarza z muzykiem i należy się ograniczyć jedną tylko sferą działania, myśli, woli lub uczucia, a nawet specyalniejszą jeszcze grupą w jednej z tych dziedzin.

Ale pierwsza grupa, ludzi czynu, nie jest dość określoną, gdyż trudno powiedzieć, co jest właściwością danego człowieka czynu, np. króla, a co zależy tylko od stanowiska, jakie on zajmuje. Nauki i sztuki nie wysunęły dość znacznej ilości imion powszechnie znanych, a więc badanie tych dziedzin nie może mieć ogólniejszego znaczenia; zresztą autor przyznaje, iż dziedziny te nie są mu dość znane, aby mógł przystąpić do ich analizy.

Jedna tylko kategorya ludzi wybitnych odpowiada, według niego, wymaganiom metody statystycznej, mianowicie literaci („gens des lettres“). Do tej kategoryi zalicza on autorów, których pisma przedstawiają interes ogólny, oraz wszystkich ludzi, którzy w jakikolwiek sposób mieszali się do literatury (słynni wydawcy, mecenasi itd.).

Otóż ta grupa ludzi „wybitnych“ waha się w różnych krajach europejskich między 40 a 50% ogólnej sumy znakomitości, a więc jest najliczniejszą i najbardziej przeto do celu zastosowaną. Autor jednak nie myśli zastanawiać się ani nad starożytnością, ani nad wiekami średnimi, wybiera zaś czasy nowożytne, a w nich specyalnie literaturę francuską, gdyż inne albo nie wydały dostatecznej ilości nazwisk powszechnie znanych (hiszpańska), albo też nie przedstawiają ciągłości rozwoju (włoska i niemiecka). Natomiast literatura francuska doskonale się nadaje, zdaniem autora, do badania statystycznego, albowiem przedstawia wielką prawidłowość rozwoju i nie posiada zarazem takich imion, jak Goethe, Shakespeare, Dante, do których statystyka zastosowaną być nie może.

Olbrzymy te sterczą śród innych pisarzów, jak Montblanc lub Jungfrau śród Alp. Otóż takich nieprawidłowości nie znajdujemy w literaturze francuskiej, którą autor porównywa z płaskowzgórzem regularnem. Oprócz literatów czysto francuskich wciąga tych także, którzy urodzili się w koloniach francuskich, w Belgii, w francuskiej Alzacyi i Lotaryngii, w Szwajcaryi romańskiej, którzy pisali w okresie między rokiem 1300 a 1839.

Do sztucznej kategoryi „literatów“ musiał zaliczyć nietylko poetów, powieściopisarzów, dramaturgów i krytyków, ale też wielu z dziedzin pokrewnych, jak filozofów, moralistów, estetyków, pedagogów, teologów, historyków, prawników, filologów, pamiętnikarzy, geografów, ekonomistów, publicystów, aktorów, mówców, księgarzy, bibliofilów, protektorów i mecenasów. Tak pojęta literatura jest prawdziwym bigosem hultajskim i należy przyznać, iż pomimo swych dążeń do przedmiotowości, autor nie mógł się ustrzedz w wyborze nader wielkiego subjektywizmu. Naprzód nie zastanawiał się nad wszystkimi przedstawicielami powyższych zawodów, tylko nad tymi, którzy najbardziej wydawali mu się zasługującymi na tytuł literatów, bo większość historyków, prawników, geografów lub filologów raczej do nauki należy, niż do literatury. Takich jednak, co do niej w wskazanym okresie należeli, naliczył 13,000, z pośród nich wszakże połowę, jako nieznacznych (według jego mniemania) usunął. Pozostało mu więc tylko 6,382, z pośród nich wybrał 1,136 takich, którzy cieszyli się sławą trwałą i tych nazywa ludźmi talentu, a śród tych ostatnich znalazł 38 nazwisk powszechnie znanych i nieodłącznych od najbardziej elementarnej historyi literatury francuskiej. Tych nazywa „literatami genialnymi.“

Oczywista rzecz, iż gdyby autor chciał istotnie dać nam badanie „genezy wielkich ludzi,“ jak obiecuje tytuł jego dzieła, powinien był zastanowić się głównie nad temi 38 nazwiskami w dziedzinie literatury francuskiej, ułożyć taką listę dla innych piśmiennictw europejskich, a także dla innych dziedzin myśli, uczucia i czynu — otrzymałby w ten sposób kilkaset osób istotnie genialnych i analiza ich dałaby nam, być może, rzeczywiście pewne wskazówki o genezie wielkich ludzi.“ On natomiast wolał zająć się tysiącami pismaków francuskich, w których liczbie oczywiście 38 literatów genialnych ginie bezpowrotnie i uogólnienia, do których dochodzi, dotyczą istot „nieskończenie drobnych,“ a bynajmniej nie „wielkich ludzi.“

Zobaczmy jednak, jakie są te uogólnienia.

Rozpocznijmy od dziedziczności. Tablica XII tomu drugiego pokazuje, iż 8% ogółu literatów związano jest z innymi literatami jakiemś pokrewieństwem. Jeżeli zamiast wszystkich wzięlibyśmy utalentowanych tylko, to procent ów wzniósłby się do 11, dla genialnych zaś do 20%! Dla kobiet procent ten równy jest 18,6%.

A jednak — spieszy dodać autor—cyfry te nie mają wielkiej wartości, gdyż liczba całkowita literatów genialnych i kobiet literatek jest zbyt niewielka, żeby wyłączyć wszelki wpływ przypadku. „Należy więc zadowolić się ogółem literatów i co najwyżej utalentowanymi, dla których liczby są dość znaczne, żeby sprowadzić do minimum wpływ przypadku.“ A więc znowu taż sama metoda, wręcz przeciwna tej, jakiej należało się trzymać. A mianowicie cyfra 20%, wskazana powyżej dla literatów genialnych we Francyi, potwierdzoną jest po części badaniami Galtona i Ribota dla innych krajów. Należało więc te badania rozszerzyć, sprawdzić, a wówczas znaleźlibyśmy, iż sprawą decydującą dla rozwoju geniuszów jest dziedziczność. Zamiast tego Odin woli rozpuścić swych 38 geniuszów w sześciu tysiącach pismaków, którymi się zajmował i w tych warunkach procent ów zamiast być równym 20, spada do 8 i rola dziedziczności staje się dość nieznaczna. Rozbierając np. wpływ rasy, tak ściśle związanej z kwestyą dziedziczności, autor dochodzi do wniosku, iż jest on prawie żaden. „Fakt ten zasługuje tem bardziej na uwagę, iż chodzi tu właśnie o literatów, a nie o ludzi wielkich wogóle. Gdybyśmy mieli do czynienia z ludźmi praktyki, z artystami lub nawet z uczonymi, nie byłoby w tem nic dziwnego, iż Baskowie, Bretończycy lub Flamandczycy nie byliby niżsi od Francuzów. Ale gdy chodzi o literatów, sam fakt urodzenia się i mieszkania w środowisku francuskiem daje oczywiście tyle przewagi, iż możnaby było się spodziewać, że okolice niefrancuskie dostarczą daleko mniej literatów, niż sąsiednie francuskie. Jeżeli tak nie jest, jeżeli przeciwnie widzimy, iż fakt należenia do narodowości francuskiej nie sprowadza za sobą większej lub mniejszej obfitości literatów, musimy koniecznie wyprowadzić wniosek, iż okoliczność różna od narodowości i donioślejsza w swych skutkach określała wytwórczość literacką.“

Widzimy stąd, iż autor pod pozorem rasy zajmuje się narodowością — a są to rzeczy zupełnie odrębne — i dlatego doszedł do wniosku, który niczego stanowczo nie dowodzi. Sama narodowość francuska składa się z kilku ras odrębnych, należało więc zbadać ich płodność pod względem geniusza literackiego, co się zaś tyczy różnych odłamów narodowości francuskiej, zgruba wziętych i gdzie rasy te są pomieszczane, to wpływy ich mogą tak się krzyżować i równoważyć, iż wnioski w rodzaju tych, jakie Odin wyprowadza, nie mają żadnej wartości.

Jakież jednak są te „okoliczności wyższe,“ od których zależy rozwój literatów? Nie są to warunki geograficzne, albowiem, jak autor dowodzi, wszystkie rodzaje literatury uprawiane były we wszystkich prowincyach w jednakowych stosunkach ilościowych.

Co się tyczy środowiska religijnego, to sądzi on, iż protestantyzm bardziej sprzyja rozwojowi literatury, niż katolicyzm. W gruncie jednak Odin wierzy, iż „wpływ tego środowiska jest dość powierzchowny“ i że przyczyn rozwoju literackiego należy szukać gdzieindziej.

A mianowicie naprzód uderza fakt, iż Paryż, ogniska administracyjne oraz pałace wiejskie odznaczały się znaczną płodnością literatów. Badając przyczyny, odkrywa, iż wyższość owych środowisk zależy jedynie od tego, że przedstawiały warunki szczególnie dogodne dla rozwoju literatów, jak środki wychowawcze liczne i często doskonałe, biblioteki, kwitnące położenie ekonomiczne.

Wniosek ten potwierdzony zostaje przez studyum środowiska wychowawczego: z 827 literatów utalentowanych 811 otrzymało dobre wykształcenie, a zaledwie 16 zaniedbane lub żadne, a zatem wychowanie odgrywa rolę główną w rozwoju literatów. Jest to wniosek, który odrazu przewidzieć było można: przy dobrem wychowaniu można wytworzyć całe armie literatów, ale tego bynajmniej nie można zastosować do „ludzi wielkich,“ do „geniuszów.“

Samo zaś wychowanie zależy oczywiście od warunków ekonomicznych— w ten sposób zgodnie z doktryną Marxa Odin znajduje główną sprężynę rozwoju literatów w warunkach ekonomicznych. A mianowicie zaledwie jedenasta część francuskich spędziła młodość w warunkach ubóstwa, reszta żyła w zamożności lub dostatku, z drugiej strony literaci rekrutują się głównie we Francyi z warstw wyższych, zamożniejszych, a wyjątkowo tylko z chłopstwa lub z proletaryatu miejskiego.

Możnaby tu postawić jeszcze pytanie: czy sama zamożność, towarzysząca warstwom wyższym, nie jest tylko skutkiem większych ich zdolności; dla Odina kwestya ta nie istnieje nawet. Jego zdaniem warstwy wyższe są zdolniejsze i wydały więcej literatów dlatego, iż przypadkiem

jakimś zdobyły więcej środków materyalnych.

A więc nawet ta część założenia autora, którego dowiódł pozornie, może jeszcze być zakwestyonowana: czy to, co on przyjmuje za skutek, nie jest przyczyną i odwrotnie? A oczywista rzecz, iż nie dowiódł niczego względem rozwoju „wielkich ludzi,“ co było prawie głównem zadaniem jego dzieła. Dwa te tomy świadczą tylko o olbrzymiej benedyktyńskiej pracy, której autor życie całe poświęcił i zawierają sporo danych faktycznych nader interesujących.

Dr. L. Winiarski.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

V.

Jan Kasprowicz: *Krzak dzikiej róży*, poezye Lwów, 1898.

Kto miał sposobność przeglądać jeden po drugim zbiorki poetyckie, ukazujące się nieprzerwanie w ciągu ostatnich kilku lat, uderzony był zapewne tem spostrzeżeniem, jak szeroką falą rozlał się wpływ Kazimierza Tetmajera, a przeciwnie, jak słabo odciski na pierwszych próbach twórczości młodych pozostawił Jan Kasprowicz. Dlaczego? Tetmajer bezpośredniej oddziaływa na wyobraźnię, olśniewa blaskami i przeraża mrokiem. Kasprowicz jest więcej w sobie skupiony, a wstęp do królestwa, w którem swoje panowanie rozpościera, uczynił stromym i drogę najeżył zawadami. Zdaje mi się, iż ażeby naprawdę głęboko odczuć poezyę Kasprowicza, należałoby spoufalić się wpierw z krainą turni, lodów, przepastnych głębin, potokow, spadających w otchłanie, których dna oko nie dojrzy. Trzeba się spoufalić, a przynajmniej mieć duszę, którąby się nie wzdrygała przed utrudzeniem, jeśli ją czekają dalekie widoki i rozkosze nieznane. Jak te nagie granity, na które nas poeta chętnie prowadzi, tak poezya jego jest często sztywna, czasem ciężka, chropawa, ozdób pozbawiona. Jak te wirchy, tak wiersz jego jest twardy, ostry, poszarpany. I jak niewygładzone i kręte ścieżki, wiodące nas na skalne załomy, tak frazes jego jest zawiły i nie prowadzi bezpośrednio do myśli poety, do jego wrażenia. Ale kto odnajdzie w sobie struny pokrewne tego rodzaju wrażeniom, żadna przeszkoda nie odstraszy go od poezyi „Krzaku dzikiej róży.“

Świt. Nie chce się nam wstawać. Pokój tak ciepły, tak miękie łoże, sen ostatniej godziny tak słodki. Wstańmy jednak. Owionie nas chłód poranku, ostry wiatr wzbudzi w nas dreszcze. Nic to. Po chwili taka jakaś rzeźkość obejmuje nam ciało i duszę, tak swobodnie odetchnie pierś, że, zda się, przybyło nam zdrowia i szczęścia, i już z pewnością na ciepłe legowisko nie wrócimy. Takie orzeźwiające i uzdrowotniające wrażenie sprawia pieśń naszego poety. Mocna jest i zdrowa. A kto się nie uląkł chłodu porannego i śmiało stąpał po ostrych krzemieniach, żeby dużo mieć nieba nad sobą i dużo w piersi powietrza, żywiej i głębiej odczuje całą słodycz ciszy wieczornej, co „hen od wieczornej idzie zorzy zamykać Tatry w swe ramiona.“ Jest to coś tak rozśpiewanego i roztęsknionego w tej ciszy, coś tak powiewnego i przeźroczystego, jak „Melodya mgieł nocnych“ Tetmajera. Porównajmy przyrodę tego ostatniego z przyrodą górską Kasprowicza. Obrazy Tetmajera są z pewnością barwniejsze, nawet rozleglejsze, aniżeli u autora „Krzaku dzikiej róży“; bogactwo barw nieprzebrane, a każda barwa przesycona jest wprost światłem i ciepłem. Gdzieindziej mroki tak zgęstniały, aż spadają wokół nakształt dużych, ciężkich płatków sadzy; tu znowu na rozkaz czarodzieja cały przestwór, cieniem nakryty, kryształowej nabiera przejrzystości. Czuć w tem wszystkiem fantazyę śmiałą i bujną, z siebie światy tworzącą, bo rzeczywistość jest dla niej za mało jaskrawa, za mało wyrazista. Pod tym względem poezya Kasprowicza bliżka jest rzeczywistości, acz w szczegóły uboższa. Gdy wspinając się na jakiś wierzchołek, wejdziemy w chmurę, chmura ta będzie miała lepkość i wilgotność prawdziwej mgły. Pod nogami czuć zawsze będziemy twardy granit, chłód lodowców przejmie nas zimnym swym wiewem, w uszach świszcze ostry wiatr alpejski. I jeszcze jedno. Gdy u Tetmajera wszystko porusza się, faluje, skrzy, w krajobrazie Kasprowicza życie, niemniej potężne, jest utajone. Najczęściej pierwszem wrażeniem naszem — to wrażenie ciszy, ciszy bezwzględnej, znieruchomiałej, w sobie zasłuchanej, chłonącej bez echa wszystkie dźwięki, lękiem zdejmującej. Jest to wspaniałe i jedyne tło, na którem wyodrębniają się, przejmując nas trwogą, olbrzymy tatrzańskie lub alpejskie.

Słucha dusza i w tych dumach
rozpoznaje hejnał swój,
Który zabrzmiał przed wiekami,
gdy ją boży wywiódł dech,
Aby mknęła w bratnich tłumach
na życiowy, wieczny bój!

Z dziwem i lękiem wsłuchujemy się w tę symfonię rytmów kamiennych i doznajemy wrażenia, jakby nas przenikał ów „dech prabytowy,“ który w dniu stworzenia wzniósł te skalne-ogromy i okrył je śniegiem i lodem, który z bezdeni nieświadomości wydźwignął nieśmiertelnego ducha ludzkiego. „I dalej śpiewa złota pieśń, mknąc znikającym łanem, że widomego świata cieśń rozszerza się w Nieznanem.“ Oczywiście z pojedynczego wiersza, z odosobnionej zwrotki nic podobnego nie wyczytamy; musimy wpierw wejść za wieszczem w zaczarowany świat, gdzie się zaczyna jego królowanie, gdzie owionie nas tchnienie nieskończoności.

Widoczną jest rzeczą, że stanowisko poety nie jest wyłącznie bierne i kontemplacyjne, że jednym z istotnych pierwiastków jego talentu jest refleksya. Zawahałem się kładąc to ostatnie słowo. Refleksya budzi myśl o czemś zimnem i sztucznem, o czemś ciasnem i ograniczonem. A jakże to wszystko jest sprzeczne z naszem wyobrażeniem o Kasprowiczu! Nie jest on refleksyjnym w samej technice twórczości. Nie nagina wrażeń do myśli, nie wyszukuje umiejętnie sztucznych efektów. W plastycznej jego wyobraźni zarysowywa się przedewszystkiem obraz, który i nas z równą mocą uderza. A z obrazu tego wyłania się jakiś cień, kładący się na powietrzne fale i przekraczający granice, zakreślone łśnią widzenia. „Granitów srebrny zrąb w przewiewnych fioletach, na czole mając tkań, sprzędzoną z śniegów mlecznych, pnie się w niebiosów głąb po mgieł sinawych grzbietach.“ To obraz dopiero. A oto jego widmo. „Nie wstrząśnie żaden grom tą Jungfrau niebopienną. Ni halny wichr, co bór za jednym tnie zamachem: zaledwie lodu złom gdzieś strąci w toń bezdenną, lub elfy zwinne gór, kozice, przejmie strachem. Tak stoi wieków wiek ten prawd strzelistych wiecznych i wiecznych symbol trwań, choć w przepaść gdzieś bezdenną grom strąca lodu zwał, las ginie, giemza kona.“ Jaka tu cisza i jaka potęga tej milczącej pani skał nieruchomych, niewzruszonej jak wyrok przeznaczenia wobec małych zabiegów ludzkich... I co jest w tym obrazie, coby z niego nie wychylało się samo przez się, co by było przydane mu z zewnątrz? I niema też tu porządnego, według zasad stylistyki ułożonego porównania: Jak to Jungfrau niebopienna spokojnie patrzy wokół siebie, tak i ty, moja duszo... lub: podobnież są prawdy, które itd.

Mówiąc o refleksyi, nie miałem na myśli kwaśno-melancholijnych porównań, ani filozofowania z byle jakiego powodu: rozmyślań u Kasprowicza niewiele; ani nawet chciałem przypominać o próbach syntetycznego objęcia głębszych zagadnień życiowych, jak to widzimy w obrazie dramatycznym „Na wzgórzu śmierci.“ Utwór ten mniej mię zadawala, niż inne. Ale potężna i głęboka dusza Kasprowicza ujawnia się w tym rozchylaniu się widnokręgu, które spostrzegamy oddając się jego przewodnictwu, w tem wrażeniu głębi i nieskończoności, którego doznajemy stale, ilekroć spoglądamy na jego obrazy. Z pewnością wielkie poddawcze ma tu znaczenie zośrodkowywanie uwagi na paru wydatnych punktach krajobrazu (nie mówię o pierwiastkach wzrokowych wyłącznie), i pewne zubożanie go względem innych szczegółów. Nie mniej silnie oddziaływa uroczyste milczenie przyrody, kiedy pojedynczy ruch i głos tylko wyraźniej podkreśla ogólny spokój i nieruchomość. Uwolnieni od zgiełku dźwięków, barw i kształtów, wpatrujemy się w nieznane byty i słuchamy dziwnych szeptów. Powołam się na przytoczony przed chwilą widok Jungfrau. Zawsze niemal bezpośrednie zjawisko, objęte spojrzeniem, pełnem widzeń zaświatowych, zmienia swój kształt i nabiera jakiegoś tajemniczego znaczenia.

Ach! nieraz mi się zdaje, gdy tak samotny kroczę
W zachodu cichem złocie zadumą ogarnięty,
Że cień, co długi wstaje z pod nóg mych i swe mrocze
Na ziół tych ściele kwiecie, nie ze mnie jest poczęty.
Lecz że z przeszłości fali, czy z przyszłych dni [głębiny
Hen! tam, gdzie ziemi koniec — byt jakiś, tu nie[znany.
Wychylił się z oddali, i że cień jego siny
Dnia dzisiejszego słońce, mrąc, rzuca na te łany.
. . . .
U stóp mych przepaść dyszy głębokiem, cichem [tchnieniem,
Jak przed zjawiskiem skonu, zwrócony do purpury
Zachodu, drżę w tej ciszy przed swoim własnym [cieniem...

W szczerej tej spowiedzi brak wszakże jednego tonu. Przypomnijmy sobie raz jeszcze ów hejnał przedwiekowy duszy, który zanucił, „gdy ją boży wywiódł dech, *aby mknęła w bratnich tłumach* na życiowy, wieczny bój.“ Duch poety, wsłuchując się w czarowne echo pieśni cmentarnych, rozszerza się po za granice osobiste, przestaje być sobą, zlewa się z duchem ludzkości. Odnajdujemy tu Kasprowicza, autora „chłopskiego zagona,“ odnajdujemy wieszcza, w najwyższych swych polotach czującego magiczną nić, która łączy go z ziemią, a nigdy się nie zrywa. We wszystkich niemal jego zamyśleniach obecny jest silny pierwiastek nieegotyczny, jak wtedy, gdy na nizinach patrzył na krwawy pot i łzy, i chleb suchy brał do ręki. „Ponad olbrzymie baszty skał, nad śmierci mgławic cienie, duch się unosi, duch, co miał wieczności przywidzenie. Wzniósł się jak gdyby w blasku zórz, nad przepaść, nad głęboką, *a tam od dołu innych dusz ciche się cienie wloką...*“

Ktoś niezbyt dawno nazwał Kasprowicza petą pesymizmu. Nie będę wyławiał pojedynczych zwrotów i zdań, przeczących temu twierdzeniu. W ten sposób zawsze i wszystko możnaby dowieść. Przytoczenia zazwyczaj czynimy dla ilustracyi wniosków, nie dla bezwzględnego usunięcia odmiennych przypuszczeń. Wszelako prawdziwie trudno zrozumieć, jak można dopatrzyć pierwiastków rozkładu i obezwładnienia w duchu, tak niepożycie mocnym.

Jest jedno wrażenie, co do którego w poezyi „Krzaku dzikiej róży“ pomylić się niepodobna, to wrażenie siły, szorstkiej może i bezwzględnej, — ale stykając się z nią nasza własna dusza czuje się mocniejszą, bogatszą, dumniejszą. Nie jest to wyłącznie skutek obcowania z wielkiemi zjawiskami przyrody. „W malem lusterku oglądane i Alpy wydają się małe.“ Nie pesymizm, lecz smutek głęboki często odzywa się w ostatnich utworach Kasprowicza. Jest to jakby zwątpienie o sobie samym, jakby obawa przed rezygnacyą, wytrącającą oręż z rąk, a na czoło kładąca apostazyi znamię; jest to jakby świadectwo lęku przed „życia ogromnem morzem,“ na które już „pancerne statki wyruszyły w drogę.“ „A ja, w dal mając zatopione oczy, na jawie przędę z mgieł obrazy senne.“ Wirze rozhukany! „zalej ten mój brzeg przeklęty, bezpłodny, pusty i jak rozpacz nagi. Więzi mnie na nim trwożny brak odwagi, gdy w krąg żeglarze spieszą na odmęty.“ Miną te chwile upadku, miną bezpowrotnie. „Wiem, że ukochań twych ołtarze nie legły dotąd w gruzy,“ powiedzmy słowami młodszego poety, Dębickiego: „więc się zamyśleń swych nie boję, ani o siłę swą nie trwożę... bo się podniesiesz ze zwątpienia i dłoń twa w harfę tak uderzy, że dźwięk jak piorun z niej wybłyśnie, jak wicher mocna pieśń wybieży...“

A. Drogoszewski.

Tak mówił Zarathustra ..

II.

Istnieje, a raczej istniał na globie ląd wyklęty, bo nieuposażony w zwierzęta i rośliny, pozbawiony wód i rozmaitości, nie miodem i mlekiem płynący, tylko nawiedzany przez straszne posuchy i straszniejsze jeszcze głody. Na nim tułał się szczep ludzki, najniższy ze wszystkich. Brudna i tłustawa skóra, pokryta farbą żółtą i czerwoną, zwieszające się w kołtunach włosy, cuchnący pot, nieokrzesane i dzikie zwyczaje, wszystko to rodziło ku niemu wstręt w cywilizowanych dżentelmenach, którzy utrwalali swoje wrażenia na stronicach książek i tam nie szczędzili wyrazów pogardy. Jeden z nich nie umiał odnaleźć najmniejszej różnicy pomiędzy mieszkańcami tej niegościnnej krainy a orangutangiem, inny nadał im nazwę „małp jaskiniowych,“ jeszcze inny każe biednemu Australczykowi uczyć się rozumu od zwierząt...

A jednak, mistrzu Zarathustro, zwróć kroki swoje ku tym brudnym, cuchnącym istotom. Donioslym głosem zbierz dokoła siebie orszak uczniów swoich i poprowadź ich, jak mistrzowie zwykli czynić z uczniami. Bo w tej „simia Troglodytes“ bije pod brudną skórą dzielne serce, tak dzielne, iż przyniosłoby zaszczyt twojej rzeszy arcymaluczkich nad-ludzi. Miałeś odwagę wznieść się ponad złe i dobre i wyzwolić się z pod kajdan wielowiekowej tradycyi, zachowaj teraz tyle ostrości umysłu, ażebyś pod nieokrzesaną i dziką formą zwyczajów dojrzał wielkie zasady, a w niedorzecznych obrzędach wielkie cele.

..Spojrzyj, mistrzu, głoszący twardość, na spaloną powierzchnię ziemi.

Z jasnego nieba, bez najmniejszego obłoczka, słońce zsyła zabójcze promienie, zczerniała trawa rozsypuje się w proch, kiedy noga ludzka stąpnie na nią, strumienie wyschły, zostawiając po sobie tu i owdzie kałuże błota. Zgłodniała wlecze się gromadka kilkunastu osób. Na karku jednej z kobiet widać młode stworzenie z twarzą przedwcześnie zgrzybiałą. Mistrzu Zarathustro, spojrzyj na tę dziką, cuchnącą od tłuszczu nad-kobietę, która nawet nie wie, że może otrzymać takie imię, bo gdzie pewne zwyczaje stały się zasadą, tam ludzie nie dziwią się najdziwniejszym rzeczom. Nosi ona syna od lat kilkunastu na grzbiecie i będzie nosiła dopóty, dopóki dziecię jej lub ona sama nie opuści na zawsze tego padołu utrapień i troski. Dziecko przyszło na świat zdrowe i dlatego nie zginęło w pierwszych chwilach swego życia, matka je pieściła, jak każda rodzicielka, w której możność wynajęcia cudzych piersi nie znieprawiła uczuć. Ale malec w roku szóstym zaczął więdnąć, kościojad zniszczył mu nogi i kobieta odtąd dźwiga go z roku na rok na swoim karku, wśród znojów i chłodów, pomimo tego, iż dziennie trzeba przejść nieraz kilka mil. I gdybyś zdołał, mistrzu nowych prawd, objąć wrokiem swoim cały ląd kopalny, ujrzałbyś dużo, nawet bardzo dużo takich wzorów poświęcenia. Mężczyzna służy u squattera. Dzielny pastorz opływa w dostatku. Jednego razu przychodzi podziękować za służbę. Dlaczego rzucasz miejsce — pyta zdumiony hodowca. Idę nosić niedołężnego brata — brzmi prosta odpowiedź. I poszedł. — Wierz mi, twórco nowych tablic, trzeba więcej hartu ducha, ażeby zgiąć kark swój w takie jarzmo, niż dla uczynienia zadość własnym kaprysom. Rzeknie może ktoś z twojej gromady, iż niewolnik nie miał siły i odwagi zaprzeć się w sobie bliźniego swego, a ja ci powiadam, iż nie trzeba zbytniej mocy ducha, ażeby iść za głosem zachcianek swoich. Każdy szakal może poszczycić się tem, przemógł w sobie współbraci swoich.

...A teraz spojrzyj, mistrzu, na to wzgórze, porosłe karłowatą drzewiną.

Młodzież związana leży na ziemi, wynędzniała, zgłodniała, nad nią pochylone postacie starców, zbroczone krwią, która kroplami ścieka do ust wyrostków, na ich twarze, włosy... Ze zgrozą odwracasz wzrok swój! Tak, dzikie to obyczaje; lecz pod śmieszną a nieraz potworną osłoną ukrywają się tam wzniosłe idee, tak wzniosłe, iż nie zaszkodziłoby, ażeby uczniowie twoi ponieśli o nich dobrą wieść swoim cywilizowanym współbraciom. W Australii niema zwyczaju, ażeby z uderzeniem ostatniej godziny dwudziestej pierwszej rocznicy dni swoich młodzieniec stawał się obywatelem: dwie godziny przed tym terminem ma on przed sobą zamkniętą drogę nawet wielkich czynów, w parę godzin po północy może bezkarnie zrobić największe głupstwo, a nikt nie ma prawa powstrzymać jego postępku. Takiej szablonowej godziny tam niema! Nim wyrostek wejdzie w poczet dojrzałych mężów, musi przebyć długą i uciążliwą próbę, która ma wzmocnić hart jego ducha, spotęgować wolę, wykształcić uczucia. Uobywatelanie ciągnie się całymi miesiącami, a składa się z doświadczeń bardzo ciężkich. Młodzież, usunięta od wszelkiego obcowania z plemieńcami, poznaje samotność, głód, wszelkiego rodzaju niedostatek. Kiedy młodzieniec, wytrzymawszy te udręczenia, wraca do obozu, to bywa nieraz tak osłabiony, iż nieść go muszą; często zaś zupełnie nie powraca.. Ale nad wygnańcami czuwa plemię, karmiąc ich nie czczymi morałami o solidarności i współczuciu, lecz ucząc ich cnót tak, jak dzicy uczyć potrafią, — żywym przykładem. Każdy młodzieniec posiada „braci plemiennych,“ którzy go w ciągu wielu miesięcy noszą na karku, bo zwyczaj zakazuje wtajemniczanym chodzić o własnych siłach. U wielu plemion karmi się on podczas długiego postu krwią starców, którzy kolejno otwierają żyły swoje, ażeby w usta spragnione i zbolałe wlać ciecz życia swego. „Patrzcie — mówi plemię do młodzieńców — patrzcie i pamiętajcie! Karmimy was krwią naszą, wy winniście oddać swoją w obronie ojców i matek, braci i sióstr waszych!“ Wśród tańców dramatycznych starsi wkładają młodzieńcom powinności i prawa. Błazeństwa! — rzeknie któryś z uczniów twoich z właściwym mu uśmiechem „wyższości.“ Tak, błazeństwa co do formy, ale wierz mi, trudno powstrzymać wzruszenie na widok tego, co ukrywa się tam w głębi pantomin i wykrzywień, niedorzeczności i żartów...

Mistrzu Zarathustro, zwróć jeszcze wzrok swój ku owej polance, rozciągającej się wśród drzew bez cienia.

Pod drzewami gromada kobiet i dzieci; dalej jeszcze inna gromada, dojrzałych mężczyzn. Dwaj zapaśnicy, jeden bez oręża w nachylonej postawie, drugi nad nim wyprostowany z maczugą w ręku. Oręż zaświstał w powietrzu, zsunął się po pochylonem ciele, krew bryznęła. Odwracasz się ze wstrętem, mistrzu, bo chociaż sławisz czyny blondynowej bestyi, wzdrygasz się na widok posoki ludzkiej. Zaprawdę, straszny to obraz, ale mniej straszny, niż rusztowanie gilotyny z spokojnym, z filisterska zadowolonym katem, z tłumem gapiów, którzy nie dospali nocy, ażeby przyjrzeć się konaniu zbrodniarza. Bo, wierz mi, w piersiach oprawcy australskiego bije czułe serce. Posłuchaj, co mówi jeden ze świadków. „Ktoś ukradł towarzyszowi swemu nieco cukru. Plemię skazało go na otrzymanie po głowie uderzeń maczugą z rąk poszkodowanego. Winowajca stanął. Poszkodowany podszedł ku niemu szybkim krokiem, zatrzymał się chwilkę, poczem uderzył go tak mocno, iż czaszka białego byłaby zdruzgotana. Australczyk nie drgnął, tylko podniósł głowę w górę, cały we krwi. Towarzysz, który go uderzył, jął głośno zawodzić i ostrzem rękojeści uderzać w swoją głowę, póki krew nie popłynęła. Wreszcie odrzucił oręż jak najdalej i wciąż zawodząc, otoczył ramionami szyję swojej ofiary. Był to widok bardzo wzruszający, nie zapomnę go nigdy!“

...Racz, mistrzu, spojrzeć jeszcze ku roztaczającemu się przed tobą łańcuchowi gór.

W różnych punktach na widnokręgu ujrzysz wynurzające się gromadki wojowników. Jedna, druga, dziesiąta, dwudziesta! Każda pochodzi z innego plemienia, bo ozdoby są różne i różne są oręże. Wszystkie zmierzają ku siedzibie plemienia, zamieszkującego górzystą okolicę. Ani dziecko i starzec, ani mężczyzna lub kobieta nie będą oszczędzeni. Cały naród z wszelkiem nasieniem swojem zostanie wymazany z księgi bytu! Straszne, krwawe obyczaje!

Ale nie sądź, zasiądziesz, posłuchaj!

Na lądzie kopalnym niema czynników, żłobiących różnice pomiędzy ludźmi. Z pozoru społeczeństwa tamtejsze hołdują zasadzie najdoskonalszej równości, ale przy bliższem wejrzeniu czczy schemat pospolitej ideologii demokratycznej znika, a na jaw wychodzi inna maksyma: każdemu miejsce według jego zdolności, każdej zdolności honory według zasług! Przed młodzieńcem ściele się tam droga karyery — honorowej, u wierzchu której przykładem swoim świeci „święty człowiek,“ tj. człowiek, który w ciągu długich dni życia swego nikomu nie wyrządził najmniejszej krzywdy, lecz niósł pomoc i okazywał współczucie. Mistrzu, to także nadczłowiek, z hartem w sercu swojem, choć innym, niż hart tygrysi! Nagi człowiek lądu kopalnego jest istotą przesądną, posiadającą najopaczniejsze pojęcie o przyczynowym związku zjawisk. Mniema on, iż jeśli ząb jego lub włosy dostaną się w niegodziwe ręce, to wyrodek może rzucić nań czary. Ale święty człowiek niema wrogów! Jeśli w ciągu swego życia plemieniec nie splamił się najmniejszą nieuczciwością, jeśli całem postępowaniem swojem dowiódł dobrotliwości i ofiarności, męztwa i poświęcenia, jeśli dokoła siebie siał tylko miłość i zaparcie się, to rada plemienna wysyła ząb jego z jednym włosem w pielgrzymkę po blizkich i dalekich sąsiadach, pielgrzymkę, trwającą nieraz

lat dwadzieścia. Wędrują one z plemienia do plemienia, wrogowie podają je wrogom, a gdziekolwiek przedmioty zawitają, tam na igrzyskach i zborach imię starca i plemię jego są wymieniane, opowiadane są czyny jego, powtarzane tytuły do sławy, a gromady z namaszczeniem słuchają, powtarzając, jak chór grecki: „dobry, dobry człowiek!“ I od dalekich plemion, od przyjaciół i wrogów, poselstwa idą bić czołem wielkiemu starcowi i błagać go, ażeby raczył zawitać w ich strony, jako mąż, niosący cnotę. I starzec puszcza się w pielgrzymkę, jak żyd wieczny tułacz, nieświadom, gdzie złoży sędziwą głowę. Odwiedza plemię po plemieniu, przyjacielskie i wrogie, wszędzie ze czcią przyjmowany: „święty człowiek, wielki człowiek, dobry człowiek zawitał!“ A kiedy pewne górskie plemię przez zemstę zamordowało jednego z takich dzikich nadludzi, dalekie ludy wysłały wojowników. Otoczono świętokradców zewsząd, ani nasienia ich nie pozostało na ziemi kopalnej. Mistrzu nadczłowieczeństwa, istnieją jeszcze na globie święte wojny i istnieją rzeczy, przed którémi muszą ukorzyć się nawet najzacieklejsze zawiści plemienne!

Wielki marzycielu, który żywisz największą miłość dla najodleglejszego, poprowadź rzeszę uczniów swoich ku tym najdzikszym z najdzikszych. Wielkie serca biją w ich nagiej piersi, wielkie idee gnieżdżą się pod ich nieczesanymi kędziorami! Posiadają oni hart ducha i wolę, nie uczeni jednego i drugiej, są idealistami, chociaż o tem nie wiedzą. A prowadź uczniów pospiesznie, gdyż jeszcze lat kilka, i z tych dzikich mistrzów ani źdźbła nie zostanie.

L. Krzywicki.

PRZEGLĄD TEATRALNY

Andrzej Niemojewski: *Bajka*. — Wł. Reymont: *Za późno!* — Jaroszyński: *Fatalista.*

Towarzystwo dramatyczne p. Zimajerowej w Dolinie Szwajcarskiej wystawiło aż trzy naraz nowości: jednoaktówki trzech młodych pisarzy. Każda z nich posiada odrębny charakter i nastrój (bo i talenty autorów różnią się zasadniczo); ale nie mogą one stanąć współrzędnie obok siebie. Niezawodne kryteryum w tej mierze daje wrażenie. Słuchamy trzech utworów, opuszczamy zaś salę teatralną z jedną tylko „Bajką“ Niemojewskiego w umyśle. Autor w jednoaktowym utworze scenicznym zamknął dramat życia ludzkiego, a raczej dramat istnienia całej ludzkości. Za pomocą postaci symbolistycznych rozsnuwa tę smutną, zakrwawioną, cierniową i twardą drogę, po której idzie człowiek od chwili, gdy myśleć i czuć zaczyna, aż do ostatniego tchnienia. Człowiek ten, a raczej ludzkość — to licencyat, który zatopiony w zagadkach wszechbytu, zapomina o swej młodości: „Czy świat jest taki, jak widzimy go oczyma, czy nie taki?.. Czy docieka nadaremnie myśl człowieka — czy jest prawda do zdobycia, czy jej niema?..“ Młodość jednak, „z kwieciem na ziemi i słońcem na niebie,“ zwraca go z drogi zimnych rozumowań i dociekań, każe mu zapomnieć o lodowatej logice życia. Człowiek poznaje cały urok swej pierwszej kochanki — Młodości, do której wkrótce się przyłącza inna towarzyszka — Szczęście i określa młodzieńcowi swoją istotę:

> Ja jestem lekkie.
> Ach, bardzo lekkie!
> Jak motyl przez senną ciszę,
> Nad ludźmi się zakołyszę,
> Wianuszek marzeń im splotam...
> Wtem życie dmuchnie... ulatam
> Jak puch!

Człowiek z uroczemi towarzyszkami idzie zdobywać świat; ale nie zna jeszcze życia. Młodość wyobraża sobie, iż jest to piękny młodzieniec o czole dumnem, rozumnem, na włosach wieniec wawrzynu, wieczna pogoda na licach, a dziwny urok w źrenicach... Przychodzi jednak wkrótce to życie — nie takie: pod postacią robotnika z młotem w ręku. Swą siłą brutalną, głosem potężnym odpędza Młodość i Szczęście, do człowieka zaś woła: „Marzycielu! wstrzymaj w biegu ziemię, wstrzymaj w pochodzie czynne, gwarne ludzkie plemię, bo takie sny się roją! Tu wyjątków niemal Świat jest cały, choć tylko część chwytasz oczyma.“ Młodość i szczęście, to „zwodnicze mary, zaklęte w kształt nadobny, znikome opary, bańki mydlane, dziatwa chorej wyobraźni, z którą się okarlały duch ludzki przyjaźni. Marzeniami młodości, Szczęścia marzeniami serce się okłamuje i myśl wciąż się mami.“

Mary te pierzchły i człowiek poznał Życie na ziemi, gdzie czyn i ból włada. Życie oślepiło go: rzuciło pod swoje stopy i rzekło mu:

> Ja będę twem okiem!
> Moje stopy wydepczą tobie przez świat drogi,
> Palcem będę wskazywać, gdzie masz stawiać nogi!
> Ja ci ukażę cele, wykreślę dążenia,
> Powiem w drodze, co radość, powiem co cierpienia,
> Nie te mary, nie, nie nie! Z dróg Rzeczywistości
> Nie wrócisz w objęcia Szczęścia, ni Młodości!
> Dalej, dalej, z wszechludzkim złączony potokiem,
> Dalej, gdzie palcem wskażę, za mną krok za krokiem
> W kurzawie trudu, wieczny pielgrzym, bez spokoju
> Pójdziesz, nie ów syn zwątpień, ale jak król Znoju!

Życie uczy człowieka, iż „prawdą jedyną — pragnienie, a jedyną potrzebą jego ukojenie!“ Dla tego ukojenia każe mu poświęcić wszystko: Szczęście, Młodość, Marzenie, zrzec się prawdy i wszelkiej miłości; każe mu pełzać w prochu, jak psu wlec się za sobą w hańbie. Człowiek zbolały, znękany przeszedł drogę Życia i poznał, że ono kłamie, pragnienia nie koi, tylko w trudzie łamie, depcze, wiedzie manowcami, dręczy i jeszcze w końcu urąga nad nim.

Nareszcie przychodzi śmierć i kołysze człowieka do snu wiecznego. Śmierć nie brutalna, nie wroga, nie gwałtowna, lecz przyjaciółka znękanych i strudzonych w krwawej wędrówce życia. Jest dobra, daje bowiem w ostatniej chwili widzenie dawnych rzeczy; pozwala mu widzieć młodość i szczęście, „jak wspomnienie, niby dwa ukochane, utracone cienie.“

Wogóle z „Bajki“ Niemojewskiego wieje tchnienie świeżości. Myśl głęboka, nastrój podniosły, poruszają w duszy słuchacza pierwiastki najlepsze. *Baśń* wypowiada i przypomina nam *prawdę* niewzruszoną, niezbitą i okrutną; znikomość szczęścia, rozdźwięk szczytnych porywów krótkotrwałej młodości z brutalnymi gromami życia, które oślepia patrzących w słońce i błękity, ściąga z wyżyn i każe pełzać po twardej szorstkiej drodze ziemskiej w wiecznych mękach i pragnieniach. Z „bajki“ tej bije jednocześnie nie pesymizm, lecz ból; ból szczery, wypływający z głębokiego poczucia całej niedoli ludzkiej, z obszarów tej wielkiej Golgoty i tego fatalnego dziedzictwa, zaczerpniętego z wszechistnienia w drobnej tylko cząstce bytu, lecz z ogromem cierpień. Śmierć jest dobrotliwa, choć zimna, bo inną być nie może, bo przychodzi zabrać ludziom nie ich szczęście świetlane, lecz niedolę; przychodzi ukoić cierpienia i pragnienia. Życia nie zabiera, tylko jeden byt, jedno istnienie. Życie zaś nie umiera, lecz odchodzi od jednego człowieka, ażeby przykuć do siebie niewolniczo drugiego i pociągnąć go na tej uwięzi po ciernistej drodze świata.

„Bajka“ Niemojewskiego jest owocem prawdziwego talentu i natchnienia, przytem pełna poezyi, napisana wierszem i językiem pięknym.

Dwa inne utwory, wystawione obok powyższego są drobnostkami, odłamkami życia codziennego. P. Reymont w obrazku dramatycznym („Zapóźno“) wykazał dobrą znajomość tych odłamków, ale zarysował rzesz tak, jak gdyby to był szkic do szerszego dramatu. Snuje się tam nić intrygi dobrze i powszechnie znana, tysiąc razy już wyzyskana przez autorów: Żona, mąż i przyjaciel. Następstwa wiadome: żona kocha się w przyjacielu. Rozpróżniaczona na wsi, wyobraża sobie, że jest stworzona do jakichś wyższych celów; pragnie żyć i oddychać całą piersią, bo mąż — to powszedniość, to płaskość, to obiad, rosół, kluski francuskie i kawa. Kochanek — to co innego. To świat nowy, wielki, to urzeczywistnienie jej pragnień i marzeń. W chwilowym porywie entuzyastycznym, gotowa z nim nawet uciec. Ale... za późno! Przypomniała, że ma obowiązki: dziecko! Mąż przywołuje zakochaną parę do rzeczywistości: prosi na kawę. Kochanek jednak odchodzi, żona pada bez czucia.

Wogóle p. Reymont dowiódł, że ma pewne zdolności sceniczne. Umie rzucać niespodzianie kontrasty, umie wprowadzać pierwiastek komiczny do tła dramatycznego, i to w samą porę. Nie umie jednak się pozbyć wielu rzeczy niepotrzebnych, jak np. wiecznie rozpaczającej i zapłakanej postaci niewieściej, czującej na swem sumieniu cały ciężar samobójstwa kochanka. Snuje się ona ciągle jak utrapienie. Widocznie posłużyła autorowi za pędzel, nasycony ciemną farbą do podmalowania kolorytu dnia zanadto upalnego. Upał ten i nastrój gorączkowy odbija się także na nieszczęśliwem oknie, któremu ciągle każą się otwierać lub zamykać.

„Fatalista“ p. Jaroszyńskiego — to drobnostka z pokrojem farsy. Wszystkie jego postacie są pełne życia i bardzo umiejętnie rzucone na scenę. Treść — błaha: Młoda wdowa chce koniecznie wyjść za mąż. Stara się o nią kapitalista: ale ponieważ jest fatalistą, więc nie ma odwagi oświadczyć się trzynastego czerwca. Wyręcza go pełen werwy i ognia szlachcic, który niefortunnemu konkurentowi sprząta wdówkę z przed nosa. Jest tam jeszcze inna para: służąca i jej „narzeczony,“ „odknaj — brachu,“ który kradnie naiwnej kucharce oszczędności. Wszystkie postacie, pełne komizmu, miejscami trochę przesadzone: i szlachcic, wdowiec trzykrotny, który nie ma czasu, więc musi natychmiast się żenić, bo w gospodarce robota gorączkowa; i niedołęga fatalista, i podstarzała służąca i jej kochanek. Zanadto tylko jest konfidencyonalny stosunek kucharki do pani domu i gościa.

Ze wszystkich trzech utworów najlepiej była wykonana „Bajka.“ Licencyat (p. Staniszewski) dobrze deklamował i podkreślał. Młodość (p. Rapacka) i Szczęście (p. Staszkowska), może niezupełnie właściwe miały dla siebie role, ale nieźle wywiązały się z zadania. P. Staszkowski był Życiem dobrze szorstkiem, a p. Trapszo — Śmiercią dobrotliwą i zimną. Widoczniejsze były usterki w odegraniu dwu innych sztuk; ale nie tak znowu wielkie, ażeby zasługiwały na szczegółowe roztrząsanie.

Zenon Piętkiewicz.

NA GWIAZDKĘ.

Pojawiły się już na stołach księgarskich pierwsze wydawnictwa gwiazdkowe, znamionujące dalszy postęp w tej dziedzinie literatury. Okazale wystąpiła księgarnia T. Paprockiego. Jej nakładem wyszły:

„Wierszyki i bajeczki,“ „Nasza wiosna“ oraz „Zaklęty świat“ ze zgrabnymi przy ilustracyach wierszykami Or—ota.

Ładne wierszyki dorobił Józef Jankowski do „Wesołego zwierzyńca“ i „Grzecznej Jadzi.“

Mniej zadawalającym jest tekst w „Małych cyklistach“ i „Zwierzętach na rowerze.“

Oprócz tych większego formatu wydań, taż firma wypuściła małe „Książeczka Maniusi,“ „Kajecik Władzia“ i „Obrazki Jani.“

Ilustracye są żywo kolorowane i dobrze rysowane. Naturalnie pochodzenia zagranicznego.

Przy sposobności uwaga. Wydawcy, nadsyłający nam książki, rzadko podają ich cenę. Dziwi nas to wielce, gdyż ten szczegół informacyjny, dołączony do wiadomości o książce, dogadza nietylko ciekawości czytelników pisma, ale także interesom nakładców. Czemuż więc nie zadają sobie tego korzystnego dla nich samych trudu?

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

MEDYCYNA. Dr. M. Flaum: „Kobieta, anatomia ciała kobiecego,“ wykład pogladowy z 6 drzeworytami (23 str.) i „Anatomia i fizyologia organów płciowych kobiety“ z 7 drzeworytami (18 str.).

PSYCHOLOGIA. J. Sully: „Umysłowość ludzka.“ tłom. J. Potocki, tom. II (456 str.).

PEDAGOGIKA. E. Demolins. „Nowe wychowanie,“ tłom. J. W. Dawid (166 str.), E. Wende.

SOCYOLOGIA. E. Abramowski: „Pierwiastki indywidualne w socyologii“ (136 str.—50 kop.). Wyd. *Przegl. filozof.*

ESTETYKA. J. Ruskin: „Malarstwo i poezya,“ tłom. A. Lange (111 str.), W. Okręt.

HISTORYA. K. Seignobos: „Dzieje polityczne Europy współczesnej“ z. IV.

POEZYE

POŻEGNANIE.

Czy mnie poznajesz, drogi? Jestem twoją Duszą,
Twoją dawną kochanką. Dziś żegnam się z tobą,
A za nim pyły ziemi oczy mi zaprószą,
I pójdę w życie ślepa, okryta żałobą,
Chcę mieć dzisiaj o zmierzchu maleńką gawędę,
Krótką będzie ma mowa, nużyć cię nie będę.

Chcę ci tylko powiedzieć, dlaczego odchodzę,
Dlaczego z sobą razem żyć nie możem dłużej...
To twoja własna wina... Ty w szału pożodze
Przypaliłeś mi skrzydła. Po brudnej kałuży
Wlec je później musiałam... Tyś kłamał przede [mną...
Tyś w głębię moich pragnień zaglądał tajemną,

By je później na ludzkie wynieść targowisko
I kupczyć niemi zdradnie lub szydzić z nich sro- [dze!
A szczęście nasze było tak blizko, tak blizko...
Dziś między nami przepaść... Odchodzę. Od- [chodzę...
Dziś nawet nie rozumiesz, co ma rozpacz znaczy!
Nie! bogom tylko sądzić o takiej rozpaczy.

A ty jesteś człowiekiem, maleńkim człowiekiem,
Którego ja kochałam. . Chciałam w noce letnie
Opowiadać ci bajki o kraju dalekim,
O kwiatach, których nigdy chłód mrozu nie ze- [tnie,
O tych słońcach dalekich, co nigdy nie gasną,
Bo praduch je rozpalił mocą swoją własną.

A pamiętasz te nasze wieczorne rozmowy,
Kiedyś siedział samotny, opuszczony, cichy?
Czy szmer się zakołysał wkoło twojej głowy,
Czy dziwną woń wydały kwiatowe kielichy —
O wszystkiem ci mówiłam... Byłeś ze mnie du- [mny,
Że wieko zdejmowałam z życia twego trumny,

Żeś przeze mnie poznawał całą duszę świata,
Żeś czuł każde jej drgnienie, chociażby najcich- [sze,
Jak jej uśmiech na słońca promieniu przylata,
Lub jak płacze żałośnie w tym jesiennym wich- [rze,
Co się nocą wskroś lasu skrada potajemnie.
Czy byś ty to rozumiał, gdybyś był beze mnie?

Dobrze nam było razem... Później coś się stało ..
I zawisło nad nami widmo potępieńcze.
Tyś je nazwał Zwątpieniem.. Było ci zamało
Moich zwierzeń serdecznych. Szaleńcze, szaleń- [cze!
Począłeś mówić nawet o jakimś rozłamie,
O tem, że Dusza twoja może wszystko kłamie.

I wykląłeś mnie wreszcie złamaną, zbolałą...
Oto stoję przed tobą... Wyznanie skończone...
Jeśli mnie kochasz jeszcze, weź mnie całą, całą,
Bo wiedz, że w którąkolwiek obrócisz się stronę...
Nie słuchasz mnie już nawet... Szum życia cię [głuszy,
Może ci lepiej będzie na ziemi bez duszy...

Bez duszy! Będziesz wolny i zapomnisz o mnie.
Zapomnisz, coś ukochał, czegoś pragnął skrycie,
Zapomnisz, żeś mi wiarę przysięgał niezłomnie.
I popłyniesz spokojnie przez to morze-życie...
W wiry cię nie pochwycą rusałczane pieśni,
A gdy spoczniesz z wieczora, to śpij—tylko nie [śnij...

Tadeusz Skarga.

W DALI.

Wilno. D. 13 listopada odbyły się obrady 70 właścicieli gorzelni ze wszystkich powiatów gub. Wileńskiej. Wezwania na zjazd rozsyłał gubernialny zarządzający akcyzą, p. Djanini, w celu doprowadzenia do skutku umowy z rządem na dostawę spirytusu do monopolu. W tym roku jednak tranzakcye te poszły ciężko i gorzelnicy zgodzili się zaledwie na warunkowe podpisanie kontraktów, obowiązując się dostawiać spirytus jedynie w takim razie, jeśli rząd cenę podwyższy. Ofiarowane bowiem obecnie 56 kop. za wiadro 40° uznano za niewystarczające, wobec wielkiego nieurodzaju kartofli, których cena dosięga niebywałej wysokości. W podobnych warunkach ekonomicznych zostająca gub. Mińska osiągnęła cenę 60 kop.. Kowieńska zaś 70 kop. W handlu prywatnym Tow. rewelskie i inne firmy kupieckie płacą również tęż samą cenę, podnosząc ją na dalsze terminy. Wytwórcy z gub. Wileńskiej postanowili wysłać delegatów do Petersburga, w celu przedsiębrania zabiegów w ministeryum o podniesienie ceny rządowej przynajmniej do panującej obecnie w handlu. Na delegatów grona gorzelników wybrano pp. Dębowieckiego, Chomińskiego i Iwanowa. Wytwórcy spirytusu stwierdzili również, iż z powodu słabej zawartości mączki w kartoflach wydatki spirytusu są złe i prawie każda gorzelnia wykazuje już pewien niedobór, w porównaniu z produkcyą lat ostatnich

Petersburg. Pisma petersburskie podają następujące ciekawe szczegóły o wędrówkach przesiedleńczych: Ruch osadniczy z Rosyi europejskiej na Syberyę wzdłuż linii kolejowej Syberyjskiej Czelabińsk-Irkuck, dosięgnął w r. b., mianowicie do 1 lipca 165,000 osób, tj przewyższył liczbę zeszłoroczną o 35,000. Znaczna jednak liczba dąży z powrotem. W pierwszem półroczu cofnęło się 1,877 rodzin, tj. 38,268 osób. Większość stanowią tu rodziny przesiedleńców, którzy przebywali na Syberyi już od lat kilku i nie zdołali się urządzić trwale. Wraz z osadnikami wracają także pełnomocnicy, wysyłani przez włościan naprzód dla upatrzenia siedzib W r. 1896 liczba pełnomocników, którzy powrócili do zagród rodzinnych, nie wynalazłszy odpowiednich osad na Syberyi, wynosiła 72%, a w r. 1897 [illegible] w 1898 r. 6,698. tj. 75,2% i w pierwszej połowie r. b. 76,9% to jest 20,904. Według *Syb. żyzni*, niepowodzenie ruchu osadniczego głównie tłomaczy się niedostateczną liczbą osad przygotowanych oraz tem, że osady te nie zawsze odpowiadają celowi.

KRONIKA.

Szkoły. W r. b. uniwersytet warszawski liczy ogółem 1,092 studentów, a mianowicie na wydział historyczno-filologiczny uczęszcza 38 studentów, na matematyczny 120, nauk przyrodniczych 96, prawny 486 i na lekarski 353. Z ogólnej liczby powyższej jest katolików 669 (61%), prawosławnych 208 (19%), Żydów 162 (15%) i ewangelików 54 (5%). Po za tem na kurs farmacyi uczęszcza 81 słuchaczów, wreszcie na różnych wydziałach jest 14 wolnych słuchaczów.

Prasa. Ze względu na szkodliwy kierunek wydawanej w Tyflisie, pod redakcyą księcia M. W. Tumanowa, gazety *Nowoje obozrenje*, główny naczelnik wydziału cywilnego na Kaukazie uznał za potrzebne zawiesić ją na 8 miesięcy.

Koleje i komunikacye. *Kuryer Warsz.* otrzymuje wiadomość z „dobrego źródła,“ iż kolej Iwangrodzko-Dąbrowska przejdzie w ręce skarbu 13-go stycznia r. p.

Wystawy i zjazdy. W r. p. odbędzie się w Petersburgu zjazd przedstawicieli przędzalni bawełny.

— W pierwszych dniach grudnia otwarta będzie w Warszawie przy placu Saskim (nr. 5) stała wystawa dekoracyjna. Ma ona na celu krzewienie sztuki dekoracyjnej w rękodzielnictwie, oraz budzenie poczucia estetycznego w publiczności. Instytucyę tę zawiązują artyści-malarze, rzeźbiarze i budowniczowie. Cele zamierzone mają oni osiągać za pomocą wystawiania na pokaz publiczny wszelkiego rodzaju wzorów stylowych z dziedziny sztuki stosowanej do rzemiosł (próby malarstwa dekoracyjnego, sprzętów stylowych, oryginalnych, wyrobów jubilerskich, bronzowniczych, stolarskich, ślusarskich, rzeźbiarskich, snycerskich, tapicerskich — sztuka zawieszania draperyj na ścianach i sprzętach).

Przemysł i handel. Powstanie bank przemysłowy górniczy z oddziałem w Ekaterynburgu i Warszawie.

— Dyrektor departamentu handlu i przemysłu, p. Kowalewski, wezwał na naradę przebywających obecnie w Petersburgu przedstawicieli przemysłu górniczego polskiego: pp S. Ciechanowskiego, J. Gleysztora, M. Grabińskiego, pułk. Vassala i Wł. Żukowskiego, celem określenia środków, mogących usunąć obecny stan krytyczny rynku węglowego w Królestwie Polskiem. P. Kowalewski oświadczył, iż ministeryum skarbu ma zamiar zwolnić tymczasowo od cła transporty z zagranicy węgla kamiennego, przeznaczonego dla ludności miast (z wyjątkiem zakładów przemysłowych), oraz 125 mil. pudów dla użytku kolei żelaznych w całem państwie. Zebrani przedstawiciele podnieśli konieczność ścisłego oznaczenia ilości węgla, korzystającego z powyższych ulg, oraz bliższego określenia czasu tego zarządzenia i ze swej strony wskazali potrzebę przedsięwzięcia niektórych środków, mogących przyczynić się do zwiększenia produkcyi węgla w zagłębiu dąbrowskiem. Do nich należą: ułatwienie dopływu nowych kapitałów do przemysłu węglowego, otwarcie wolnego wstępu dla robotników austryackich, utworzenie agentur najmu robotników w innych miejscowościach kraju, budowa nowych dróg podjazdowych, usunięcie formalności, tamujących wznoszenie nowych zabudowań w pasie pogranicznym itd.

Zmarli. Dr. Wincenty Józef Kudyrko, we Władysławowie. Pisywał artykuły do pism litewskich z dziedziny ruchu społecznego, etnografii i krajoznawstwa: przetłomaczył na język litewski prawie wszystkie arcydzieła poezyi polskiej. Dla ludu litewskiego układał wypisy, gramatykę, geografię, słowniki, pisał oryginalne lub tłomaczył z polskiego powiastki ludowe, bajki Jachowicza itd. Wydał w dwóch tomach zbiór pieśni litewskich ludowych p. t. „Lituvikos Kankles“ („Lira litewska“). Sam opracował do tych pieśni muzykę na fortepian. Zmarł w 41 roku życia, strawiony chorobą piersiową, która zmusiła go do porzucenia praktyki lekarskiej.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. St. we Lwowie. Utwór Pański ma ładne strofy i kunsztowność formy, ale: 1) za dużo zawiera słów zbytecznych, powtarzających te same myśli i obrazy, a 2) nie nadaje powszedniemu tematowi nawet odcienia oryginalności. Wystarczyłoby mu kilkanaście wierszy sonetu, a on się rozciągnął do 120 poematu.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** podaje do wiadomości osób interesowanych, że wyznacza się nowy termin na konkurs stypendyalny z zapisu ś. p. Franciszka Korwin Szymanowskiego, na oznaczony dla malarzy jako też rzeźbiarzy temat z dziejów średniowiecznych lub z życia ludowego. Stypendyum w wysokości 150 rb. rocznie przeznaczone jest dla młodzieńca wyznania rzymsko-katolickiego, urodzonego w kraju tutejszym, odznaczającego się wyższem uzdolnieniem, niezamożnego a przytem moralnego prowadzenia. Każdy z ubiegających się obowiązanym będzie w dniach 2, 3 i 4 stycznia 1900 r. odmalować lub odmodelować figury z natury i w d. 5 stycznia narysować kompozycyę pod okiem delegowanych w tym celu członków Komitetu Towarzystwa. Z prac uznanych za dostateczne najlepsza wynagrodzoną zostanie powyższem stypendyum, które ułatwić ma artyście dalsze wykształcenie się w sztuce w kraju lub za granicą. Ze współubiegających się jednakowego uzdolnienia, Szymanowscy herbu „Ślepowron" przydomku Korwin, lub Kossowscy z Głogowy, mieć będą przed innymi pierwszeństwo w uzyskaniu stypendyum.

Pragnący ubiegać się o powyższe stypendyum zechcą zgłosić się z podaniami na papierze bez stempla do Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych najpóźniej do dnia wyżej wskazanego z załączeniem metryki urodzenia i chrztu, świadectwa ubóstwa i moralnego prowadzenia się, Szymanowscy zaś herbu „Ślepowron" przydomku Korwin oprócz tego złożą dowód legitymacyi i swego pochodzenia.

OGŁOSZENIA.

H. Riegel (następca) **H. Oławski**

Księgarnia i Skład obrazów

w Warszawie, Mazowiecka nr. 6,

poleca następujące dzieła naukowe:

Guillemin A.: **Siły przyrody**. Popularny wykład fizyki. Wytworne dzieło 1200 str. duży format, 625 drzeworytów. 15 tablic kolor i czarne. Zamiast 7.40 Rs. 3.50

Geografia popularna z rycin. i mapami. 2 tomy 1663 str. Zam. 7.95 Rs. 3 —

Mały Brehm. Życie i obyczaje zwierząt. 260 figur na 24 tabl. kolor. Rs. 2,50 z oprawą Rs. 3.—

Hayek G Atlas zoologii, botaniki i mineralogii na 120 tablicach in folio z tekstem. W ozdobnej czerwonej oprawie, [illegible] Rs. [illegible] —

Podręczniki do nauki języków obcych dla samouków metody Dr. H. Loewego **Język francuski** 1 50. Język niemiecki Rs. 1.—

Słownik kieszonkowy. Francusko-Polski i Polsko Francuski. 1200 str. 1,50 z oprawą Rs. 2.—

Młoda gosposia. Tom I **Poradnik kucharski i kuchnia dla chorych.** 860 st., w oprawie Rs. 1 50. Tom II. **Ciasta, soki, konfitury.** 360 str. Rs. 1.—

Powieści Montepin a: Podpalaczka (Roznosicielka chleba) i Walka o miliony. 46 zeszytów po 15 kop.

Margrabina Pompadour, czyli Ludwik XV i dwór jego. Powieść historyczna bardzo zajmująca. 40 zeszyt. po 10 kop.

Katalog szczegółowy bezpłatnie.

Wydawnictwa „Prawdy"

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**. tłom. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.**

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bakowskiej — rs. 3.

Huxley—Rosenthal. **Zasady fizyologii** — rs. 2.

H. Posnett **Literatura porównawcza** rs. 2.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

Prof. R. Falkenberg. **Historya filozofii nowożytnej**. w przekładzie W. M. Kozłowskiego—rs. 2 kop. 40.

Dr. Azam **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — kop. 40.

N. Hirszband. **Byron w urywkach**, kop. 50.

K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa—rs. 2.

Dr. Med. L. Wolberg. **Psychologia dziecka** — rs. 2. Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł K. Lewald — rs 6.

Encyklopedya dla dzieci (ilustrowana). Cena zniżona rs. 1 k. 50. Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.

Dr. J. Dallemagne. **Człowiek zwyrodniały** — rs. 2.

A. Maksimow. **Syberya i ciężkie roboty**, tłom. Z. Piutkiewicz. Część I Nieszczęśliwi — rs. 1. kop. 20.
Część II Winni i oskarzeni — rs. 1 k. 20.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

WYDAWNICTWA

Księgarni E. Wende i S-ka,

w Warszawie.

Demolins E. **Nowe wychowanie.** przeł. z franc. J. Wł. Dawid —.75 k.

Kucharzewski F: **Z dziejów techniki** rb. 1—.

Amborski J.: **Zbiorek prawideł wymawiania języka francuskiego** —20 k.

Wydawnictwo MICHAŁA ARCTA

w Warszawie, Nowy Świat nr. 53.

Podrecznik do nauki

HISTORYI Literatury Polskiej

UŁOŻYLI

K. Król i J. Nitowski.

Cena rb. 2, w oprawie rb. 2.30.

Co każdy człowiek wykształcony

O ELEKTRYCZNOŚCI

wiedzieć powinien.

Wykład popularny, opracował

Wł. Umiński.

Cena 60 kop.

Księga ilustrowana Wiadomości pożytecznych

z wszelkich dziedzin wiedzy objaśnionych **2500 rysunkami.**

Cena rb. 6. w oprawie rb 6 75 i rb. 7.

Do nabycia we wszystkich księgar.

Nowourządzony

zakład fotograficzny

p. f **W. TWARDZICKI**

przeniesiony z Niecałej 12

na **Nowy Świat 46.**

Księgarnia **K. WENDE i S ka** w Warszawie poleca:

Nowe tanie wydawnictwa naukowe

ze zbioru „Wiedza i życie."

Świeżo opuściły prasę:

Mosso An.: FIZYCZNE WYCHOWANIE MŁODZIEŻY.
Kulpe O.: O ZADANIACH I KIERUNKACH FILOZOFII. II tomy.
Przewóski E.: KRYTYKA LITERACKA WE FRANCYI II tomy.

Przedtem wyszły:

Sizeraune: RUSKIN I KULT PIĘKNA II tomy
Dr. Nusbaum J. Z ZAGADNIEŃ BIOLOGII I FILOZOFII PRZYRODY.

Niebawem opuści prasę:

Dr. Ernst M. O PRZYRODZIE PLANET.

Cena każdego tomu 60 k., opraw. 85.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie i w Łodzi, otrzymała na skład główny:

JAMES SULLY.

Umysłowość ludzka.

Księga podręczna psychologii. Z angielskiego tłomaczył **I. K. Potocki.** Dwa duże tomy, każdy po rb. 3. Do nabycia we wszystkich księgar.

Tanie wydanie!

Wiktor Hugo:

NĘDZNICY

10 tomów broszurowanych **1 rb. 80 k.**, w ozdobnej oprawie **2 rb. 50** k, z przesyłką o 30 kop. drożej.

Do nabycia we wszystkich księgarniach. Nakład księgarni **S. Bukowieckiego**, Marszałkowska 100, która również wysyła na prowincyę wszelkie książki i nuty po cenach **katalogowych** oraz przyjmuje prenumeratę pism po cenach **redakcyjnych**, tak za gotówkę, jak i za zaliczeniem pocztowem.



PISMA
Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 kop. 50.**

Tom II: Tragikomedya prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.—Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 kop. 20.**

Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 kop. 20.**

Tom IV: Piękna, Aspazya. **Rb. 1 kop. 50.**

Do nabycia w Administracyi *Prawdy.*

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Ноября 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.